Niedziela, dnia 11-go Maja 1902 roku.



Bydgoszcz. — Katowice.

Redakcya i Administracya: Poznań, ulica Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Zimny natrysk
na pruską głowę.

Wiedzą już czytelnicy nasi, wie też cały nasz naród, że polakożercza zawziętość pruska przekracza wszelkie granice. Przekracza ona też niekiedy granicę niemiecko-rosyjską, ale nie zawsze wybiera się tam z powodzeniem. I tak przed kilku dniami nie tęgo się powiodły antypolskie zapały pewnej znanej osobistości pruskiej, objawione podczas uczty w Kaliszu.

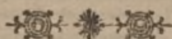
Biesiadowano w domu policmajstra kaliskiego, p. Stecuły, szanowanego i lubionego powszechnie z powodu prawości charakteru, sprawiedliwości i uprzejmości. Prusaka tak „rozebrało,“ tak rozserdeczniło coś do współbiesiadników rosyjskich, że swych polakożerczych zapałów powściągnąć już nie zdołał, a przypuszczając, że rosyjska a pruska dusza to jedno, począł z wielkim zamachem prawić o potrzebie wspólnej akcyi Prusaków z Rosyanami ku zgnębieniu Polaków. Rycerski swój popis zakończył okrzykiem: „Polonia pereat“ (niechaj przepadnie Polska)!

I spojrzał na okół stołu zadowolony z siebie, czekając poklasku i brawa, a tu naraz słyszy głosy biesiadników wypraszające sobie tego rodzaju toasty. Prusak zgawroniał, straciwszy bohaterską pewność siebie, a zdumiał jeszcze bardziej, spostrzegłszy ku swojemu zgorszeniu, że obecni oficerowie ruscy pousuwali kieliszki z wyrazem oburzenia na twarzy. Prusak krzyżacką manierą próbował żartobliwie zatuszować przykre wrażenie i nadać potokowi swej wymowy inny kierunek — ale postawa oficerów rosyjskich stawała się coraz groźniejszą. Nakoniec zabrał głos pułkownik i w słowach gorących zastrzegł się, że oficerowie rosyjscy, jako Słowianie, nigdy pić nie będą na zagładę bratniego słowiańskiego narodu i że słowa „Pereat Polonia“ — pozostawiają Prusakowi. Sytuacya stała się wreszcie tak przykrą, że Prusak poczytał za bardzo praktyczne wynieść się i swoje polakożercze zapały wywieść co prędzej za pruską granicę.

Awantura ta, lubo drobnego znaczenia, jest przecież porówno dla Polaków, jak dla Rosyan pouczającą. Nas, Polaków, utwierdza w przekonaniu, że Niemcy usiłują przy lada sposobności siać ziarno nienawiści pośród Słowian, szczególnie zaś utrwalać i zwiększać rozłam pomiędzy rosyjskim a polskim narodem, rozłam, do którego niepomiernie przyczyniała się zawsze złowroga ręka niemiecka. Rosyan zaś zdarzenie to pouczyć powinno, że wśród Niemców „sympatya“ do nich właściwe swe zdradza oblicze wtedy, gdy chodzi o wspólne z nimi pognębienie, o zagładę polskiego lub innego słowiańskiego plemienia. Na zjednoczonej, wspólnej nienawiści i prześladowczości względem Polaków opierać się ma „nieprzyjaźń“ i „serdeczność“ prusko-rosyjska. Taki instynkt, takie uczucie zrosło się z istotą niemiecką. A że w Niemczech rząd z narodem germańskim jednakiego jest ducha, przeto nie dziwić się, że Prusak tego pokroju, co nie-

fortunny bohater kaliskiej uczty wyobraża sobie, że duch dotychczasowego rządu rosyjskiego a dusza narodu rosyjskiego jednako jest ku Polakom usposobiona. Na politykę Rosyi w Królestwie Polskiem potrafili Niemcy dotąd silny a bardzo dotkliwy dla nas wpływ wywierać, ale mamy tę ufność, że zanim duszę prawych Rosyan zdołają zupełnie opętać, to pewno jeszcze spotka ich więcej tak roztrzeźwiających natrysków, jak podczas uczty u naczelnika kaliskiej policyi.

Slavus.



I to nas nie złamie!

Wiemy nareszcie, w jakim kierunku na ten raz wyładuje się na nas zawziętość giermańska. Oto rzuci ona na szalę dalsze 100 milionów na wykupno ziemi polskiej i zaludnienie jej obcym żywiołem.

Rozradowały się na tę wieść nigdy nienasycone serca rycerzy trzech liter i wszelkich ich „mitläuferów“, niejedna zaś pewnie dusza polska zadrgała bólem i trwogą, O! bo niebezpieczeństwo dalszej utraty ziemi przez to znów się powiększy — a co gorsza, wzmoże się i pokusa...

W artykule niniejszym nie mamy zamiaru oceniać nowej tej, wyrządzanej nam krzywdy ze stanowiska etyki i chrześcijańskiej moralności. Przyjrzymy jej się natomiast ze stanowiska *statystyki i ekonomii.*

Gdy posłowie nasi w sejmie skarżą się, że na tę państwową a dla żywiołu polskiego wrogą kolonizacyą i Polacy łożyć muszą, odpowiadają panowie ministrowie z wielkiem oburzeniem: to nieprawda!

A jak się rzecz ma istotnie?

Nasamprzód stwierdzić wypada, że podatków, ceł, oraz innych naszych danin rząd bynajmniej nie wkłada do osobnej jakiejś puszki, lecz że wpływają one wespół z podatkami niemieckiemi do wspólnego skarbca. Jeżeli tedy rząd wydaje coś z tego skarbca, to wydaje porówno polskie jak niemieckie pieniądze.

Pytanie tedy, ile też my Polacy płacimy do tego skarbca pruskiego. Dokładne obliczenie tej naszej krwawicy jest naturalnie niemożliwe. Potrzeba by do tego, aby rząd prowadził dwojaką buhalteryą, osobno zapisywał dochody od Niemców i osobno dochody od Polaków płynące. W przybliżeniu jednakże można wyliczyć tę sumę, i to tak, że pewnie nie wiele odbiegać będzie od rzeczywistości.

Jest nas w państwie pruskiem blisko 3 i pół miliona, stanowimy tedy mniej więcej 10 proc. ogólnej ludności monarchii pruskiej. Mylnem atoli byłoby przypuszczenie, że zatem i podatki nasze wynosić muszą 10tą część kwoty ogólnej. Dzielnice polskie w obrębie Prus należą do najuboższych, ludność polska zaś pod względem dobrobytu — „dzięki“ „ojcowskim“ „rządom pruskim“ — ani w przybliżeniu równać się nie może z ludnością niemiecką.

Przyznać tedy musimy, że co się tyczy podatków *bezpośrednich*, jesteśmy „siłą mniej podatkującą“ — jak to nazywa terminologia państwowa — niż Niemcy. Za to pod względem podatków *pośrednich* nie wiele im ustępujemy. Te podatki — przeważnie *cła* — obciążają, jak wiadomo, najbardziej artykuły, konsumowane i używane przez *szerokie warstwy ludności;* z nich też największe płyną zyski. Ponieważ zaś ludność polska, niestety mniej jeszcze oszczędna, niż ludność niemiecka, przejada i zużywa prawie wszystko, co zarabia, więc w dziedzinie tych podatków odpowiada stosunek naszej części do ogółu dochodów w przybliżeniu stosunkowi procentowemu ludności, czyli, że pod tym względem ponosimy może rzeczywiście blisko 10 procent ogólnych ciężarów.

Nawiasowo nadmieniamy, że cła pobiera wprawdzie *rzesza* niemiecka, dochód atoli z ceł dzieli się pomiędzy wszystkie państwa związkowe, które w zamian za to płacić muszą na wspólne potrzeby tak zwane dodatki *matrykularne.*

Za to do innych źródeł dochodów państwa pruskiego, np. do *dochodów z kolei żelaznych* itp., ludność polska znów *mniej* dostarcza niż ludność niemiecka, bo nie ma u nas ani takiego ruchu towarowego, ani osobowego jak w dzielnicach zachodnio-pruskich.

Bądźmy sprawiedliwi, nie rośćmy zbyt wielkich pretensyi, trzymajmy się swego, ale tego „swego“ brońmy energicznie.

Biorąc na uwagę wszystkie te okoliczności możemy śmiało postawić taką tezę: Ludność polska stanowi 10 procent ogólnej ludności monarchii — *z ciężarów państwowych ponosi jednakże tylko najwyżej 7 — siedm — procent.*

Z góry przewidujemy, że i to obliczenie wydawać się będzie Niemcom zbyt przechylonem na naszą korzyść. Na pierwszy rzut oka mogłoby się to też tak wydawać. Prosimy atoli uwzględnić i to, że u nas wszelkie ciężary podatkowe rozkłada się na ludność polską daleko *ściślej*, niż może gdzieindziej, że w stosunku *więcej* opłacamy, już z tej przyczyny, ponieważ przysłowiowa *gnuśność* polska przeszkadza korzystaniu w czas z prawa reklamacyi, z którego Niemcy najobficiej i z dobrym skutkiem korzystają.

A teraz rzecz najważniejsza: wszystkie niemal ciężary państwowe wracają się Niemcom niemal całkowicie, głównie w postaci pensyi urzędniczych lub zysków z dostaw dla rządu, dla armii i t. d. My zaś, Polacy, nic z tego nie otrzymujemy, przeto dla nas ciężary podatkowe są daleko uciążliwsze, niż dla Niemców.

Biorąc *to* na uwagę śmiało twierdzić możemy, że do dochodów monarchii pruskiej dostarczamy już nie 7, ale conajmniej *8 procent.* Z tego zaś wynikałoby, że tyleż wynosi nasz udział w *wydatkach* państwa.

Jest to rachunek bardzo prawdopodobny.

Jeśli tedy rząd pruski wyrzucił na kolonizacyą dotychczas 450 milionów marek (wraz z projektowanemi dalszemi 250 milionami) to w tej *kwecie tkwią conajmniej 36 milionów polskich pieniędzy.* Dokładniej już wyraziwszy: Z 450 milionów kredytu kolonizacyjnego ciąży na ludności polskiej 36 *milionów marek.*

Takim oto ciężarem obarczył rząd ludność polską — aby wykupywać jej ziemię i rozdawać ją ile możności jak najtaniej kolonistom niemieckim.

A jakże się przedstawia *roczny* nasz wydatek na ten cel?

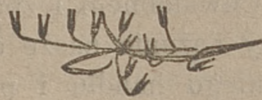
Te 450 milionów muszą być oprocentowane; wiadomo zaś, że komisya kolonizacyjna własnych dochodów nie ma jeszcze prawie wcale. Zatem procenty od tych 450 milionów pokrywać musi skarb państwowy. Wraz z kosztami administacyjnemi wynoszą procenty od długów państwowych zwykle 4 procent, czyli, że oprocentowanie tych 450 milionów kosztować musi skarb państwowy około 18 milionów marek *rocznie.* Ponieważ zaś na ludność polską przypada 8 procent ogólnych ciężarów przeto na procenty od tych 450 milionów płynie z polskich kieszeni 1.440,000 mrk. rocznie, czyli blisko *półtora miliona marek!!*

Półtora miliona marek oto — biedny narodzie polski — płacić musisz rocznie na to, aby na ojczystej twej ziemi rozsiadali się pod najkorzystniejszymi warunkami przybysze Niemcy!

Taki oto jest *nasz* obrachunek ciężarów, jakie nakłada na ludność polską *komisya kolonizacyjna.* I dopóki nam panowie ministrowie dokładniejszemi jeszcze liczbami nie udowodnią, że tak nie jest, pozostaniemy przy tem naszem obliczeniu i uważać je będziemy za *jedynie słuszne i trafne.*

Taką więc szkodę wyrządza polskości komisya kolonizacyjna, *pośrednio,* — jakie zaś straty spadają na nas bezpośrednio, a zwłaszcza, jakie ciosy zadać nam mogą *owe 250 milionów,* o tem mówimy obszerniej w następnym artykule.

Poznańczyk.



Nasze położenie wobec nowych 250 milionów kolonizacyjnych.

Pomijamy już to, że nabytej w pewnej części także za nasze pieniądze ziemi, komisya kolonizacyjna nie sprzedaje Polakom, bo o tem już pisalimy i nieraz jeszcze pisać będziemy. I po zatem zresztą wyrządza nam szkód i strat niemało. Pierwszą i najważniejszą jest ogromne *podrożenie ziemi.*

Rolnik, nie spekulant, może za ziemię płacić tylko taką cenę, jaką ziemia sama przy odpowiedniej uprawie zdoła oprocentować, innemi słowy, cena ziemi musi odpowiadać rencie z ziemi. Ta renta jest w naszych dzielnicach bardzo niską. Zboże nie płaci, bydło także nie, a teraz zapewne i cena za buraki z powodu zniesienia premii wywozowych, znacznie się zmniejszy. Stósownie do tego powinna i cena ziemi dziś być niższą, niż była dawniej, za lepszych dla rolników czasów. I tak by też było, gdyby nie komisya kolonizacyjna. Ta, dążąc jedynie do odebrania Polakom jaknajwiększych obszarów, nie liczy się z groszem. O zysk już nie chodzi, jedynie o giermanizacyą polskich dzielnic. Płaci tedy za ziemię często więcej, niż jest warta i przez to podnosi nieproporcyonalnie jej cenę. Wiedzą o tem dobrze wszyscy, którzy kupowali i kupują ziemię, wiedzą mianowicie nasze banki i spółki parcelacyjne.

Gdyby ot ziemia była dla nas towarem, którego byśmy się bez istotnej dla nas szkody pozbywać mogli, nie potrzebowalibyśmy się gniewać na komisyą kolonizacyjną. Tak atoli nie jest! Ponieważ na ziemi opiera się głównie cała nasza egzystencya ekonomiczna, a także narodowa i polityczna, przeto nietylko ziemi sprzedawać nam nie wolno, ale nadto dążyć musimy *do odzyskania dawniej straconej, do powiększenia naszego stanu posiadania.* To zaś stanie się dla nas niemożliwem, gdy komisya kolonizacyjna, wzmocniona nowemi setkami milionów, zjawiać się będzie przy każdej subhaście, przy każdej zamierzonej parcelacyi i ziemię podrażać.

To podciąć może z czasem zupełnie akcyą parcelacyjną po naszej stronie, przynajmniej ograniczy ją tylko na majątki z polskich nabyte rąk; a i w tych wypadkach nie pozostanie bez wpływu.

Dobrze o tem wiemy, że lud nasz garnie się do nabywania ziemi, łaknie formalnie własnego kawałka roli — lecz gorącemu temu pragnieniu nie będzie mógł zadość uczynić, gdy wskutek zwiększonej konkurencyi komisyi kołonzacyjnej ziemia w cenie jeszcze podskoczy.

Tego zaś napewno spodziewać, a raczej obawiać się trzeba. Mając do dyspozycyi jeszcze nowych 250 mil., komisya kolonizacyjna rozwinie ogromnie swą działalność. Dotychczas kupowała tylko majątki, nadające się na parcelacyą, teraz zaś kupować będzie wszystko, co jej się nasunie, bo ma tworzyć nowe „domeny państwowe“, ponadto zaś ma nabywać także gospodarstwa włościańskie.

Do słabych duchów między nami częściej też niż dotychczas, przystępować będą różnego rodzaju kusiciele. Biada nam, jeźli znajdą posłuch, jeźli wielu będzie — łaszczących się na judaszowe srebrniki.

Tak tedy nowe setki milionów — wyznaczone na kolonizacyą, mogą nam z czasem zupełnie odebrać możliwość nabywania ziemi. Hakatyści żądali już oddawna, aby Polakom wogóle zabroniono kupowania ziemi. Tego rząd nie uczynił, gdyż byłby to gwałt zbyt straszny; pomnażając atoli w ten sposób fundusze komisyi kolonizacyjnej, spełnia pośrednio i to żądanie hakaty.

Ministrowie twierdzą zwykle, że

komisya Polakom krzywdy nie wyrządza, gdyż dobrze płaci za ziemię, pomnaża więc kapitały polskie. Otóż my takiego „pomnażania kapitałów“ wcale nie pragniemy, ani pragnąć nie możemy. Fakt, że ten lub ów ziemianin ocali się przez to od ruiny, nie zdoła powetować straty, jaką całe społeczeństwo ponosi przez ubytek znacznego obszaru ziemi. Ten obszar dawał dotychczas chleb i pieniądz znacznej liczbie polskich robotników, ci zaś znów zasilali swym zarobkiem polskich kupców i przemysłowców. Przez sprzedaż majątków komisyi kolonizacyjnej skazuje się tedy setki ludu polskiego na nędzę i tułactwo, a polski handel i przemysł naraża się na straty, podkopuje byt jego.

I tej straty chociażby największy zysk z sprzedaży majątku wynagrodzić już nam, społeczeństwu, nie zdoła.

Ze wszystkich tych przyczyn jest więc komisya kolonizacyjna bardzo dla nas niebezpieczną. Rząd odsuwa nas od wszelkich urzędów państwowych, hakata bojkotuje nasz handel i przemysł, naszą inteligencyą zarobkującą, a teraz i ziemię tak się nam podroży, że stanie się dla nas zupełnie niedostępną. To zaś, co jeszcze posiadamy, chociażby dało się ustrzedz przed znaczniejszemi stratami, z czasem dla nas nie wystarczy. Nowa akcya kolonizacyjna mogłaby więc podkopać zupełnie rozwój nasz na wszelkich niemal polach.

O tem, że przez to poniesiemy także znaczne straty w dziedzinie politycznej, że przez osiedlenie kolonistów niemieckich i utworzenie domen, uniemożliwi rząd wybór posłów polskich, nie rozwodzimy się już wcale. To jasne jak na dłoni. Nam dziś chodzi wyłącznie o wykazanie wyrządzonych nam przez to krzywd w dziedzinie ekonomicznej.

Społeczeństwo, tak bojkotowane, jak nasze, musi opierać się tylko na sobie, na własnych siłach, musi dążyć do rozwoju, któryby wszystkim jednostkom dawał zarobek i chleb, musi wytwarzać coraz to nowe gałęzie pracy i dorobku, musi dążyć do tego, aby jak najmniej było zależnem od obcych. Chwalebnem i zbawiennem jest tedy dążenie nasze do rozwoju polskiego handlu i przemysłu, cóż atoli pocznie ten handel i przemysł, jeżeli naturalne pole zbytu jego — rolnictwo polskie, nie dotrzyma kroku jego rozwojowi, jeźli polska ludność wiejska zamiast się wzmagać w odpowiednim stosunku — topnieć będzie coraz bardziej, jeźli coraz liczniejsze rzesze polskiego ludu uchodzić będą musiały z ziemi?

Wówczas położenie nasze stać się może naprawdę bardzo groźnem. Jak temu zaradzić, jak temu zapobiedz?

O tem *w czas* pomyśleć trzeba! Przedewszystkiem nie należy tracić ani piędzi z obecnego naszego stanu posiadania w ziemi, a potem wytężyć wszystkie siły, cały *spryt*, całą uwagę w tym kierunku, aby *mimo konkurencyi* komisyi kolonizacyjnej chociaż w drobnych kawałach odzyskiwać, co dawniej stracono. W tym celu będzie trzeba zorganizować się jeszcze lepiej, rozciągnąć na cały kraj sieć mężów zaufania, którzyby w czas o wszystkiem informowali nasze instytucye parcelacyjne, umożliwiały im nieraz zjawienie się na placu rychlej, niż przyjdzie komisya kolonizacyjna. Tu tylko pomódz może sprężystość i zabiegliwość. Wszystko ot prze nas do tego, abyśmy stósowali się do słów wieszcza i stali się naprawdę „przebiegłymi jak węże“. Przykra to walka w takich warunkach, inaczej atoli radzić sobie nie możemy.

Przedewszystkiem trzeba *działać, działać* i jeszcze raz *działać*, a nie czekać z założonemi rękami na zmiłowanie Boże. Jeźli działać będziemy rozumnie i *przebiegle*, i ta nowa powódź milionów niemieckich złamać nas nie zdoła!

Czujny.



O wolność wyznaniową.

W sobotę właśnie, w rocznicę wiekopomnej naszej konstytucyi trzeciego maja, co obwieściła wolność i swobodę obywatelską, wolność wyznania, wolność ducha całemu narodowi polskiemu—poseł Bernard Chrzanowski w parlamencie niemieckim, popierając odpowiednio sformułowany wniosek stronnictwa centrum i Polaków, dopomniał się o wolność wyznaniową w Niemczech.

Gorzką to zaiste ironią, że naród polski, ten naród, któremuby polakożercy radzi odmówić wszystkiego, któryby chcieli odsądzić od wszelkich względem świata i ludzkości zasług, a nikczemnemi wymysłami i kłamstwami podać w pogardę — że oto ten naród już całe 111 lat temu uznał i obwieścił sobie tę samą swobodę, o którą dziś na arenie parlamentarnej wołać muszą nie tylko Polacy, ale i Niemcy także. Ironią zaiste, straszną to ironią, że wolność ducha, wyznania i sumienia, ów postulat kultury zapewne najpierwszy, już przeszło sto lat temu u nas przynależne znalazł poszanowanie, lubo nie krzyczeliśmy i nie krzyczymy po jarmarcznemu o rozwoju naszej cywilizacyi — jak to czynią Niemcy w ogóle, a Prusacy specyalnie.

Mecenas Chrzanowski w mowę swą tchnął takiego ducha, jaki odpowiada przedewszystkiem kardynalnym ludzkości zasadom, a także uczuciom i przekonaniom polskiego narodu.

Ze spokojem i siłą dowiódł naprzód, że potrzebę nauki religii w języku ojczystym nietylko kościół katolicki uznał za konieczną, lecz także powagi protestanckie. Uznanie tej potrzeby wynikło z rozpoznania, że przy nauce religii w obcym języku bardzo łatwo zakraść się może fałszywe i szkodliwe zrozumienie pojęć religijnych. Nieprawdę, i to z rozmysłem nieprawdę mówi ten, kto twierdzi, że modlitwa kościelna równie szczerą musi być w obcym, jak w ojczystym języku. Modlitwa wtedy może być tylko serdeczną, gdy się ją odma

wia w języku, który sercu, który istocie wewnętrznej modlącego się odpowiada.

Po ogólnej obronie zasady, ażeby uczono się religii i modlono się do Boga w języku macierzystym, mówca zwrócił się specyalnie do stosunków w polskich dzielnicach i ostro napiętnował przymus do nauki religii w niemieckim języku. Wykazał w toku trafnych swych wywodów, że właśnie system nowoczesny w szkołach spowodował, że ludność polska odwraca się od języka niemieckiego, że system cały przeciwko Polakom wymierzony mowę niemiecką oprzykrzył im i obrzydził. „Widzimy“ — tak mówił poseł Chrzanowski — *„że na korzyść tego języka zabraniają nam mówić na zebraniach między sobą po polsku. Widzimy, że pozbawiają urzędu nauczycieli, jeżeli w rozmowie z innymi posługują się polskim językiem. Widzimy, że w tym języku wydają wszystkie ustawy przeciwko nam, że w tym języku zapadają niesprawiedliwe przeciwko nam wyroki, że w tym języku głosi się nasze wytępienie i wzywa się do walki przeciwko nam, że w tym języku woła się do nas z gorzkiem szyderstwem, iż „przecież wolno nam mówić tak, jak nam dziób urósł“ — i byłoby zaprawdę rzeczą niesłychaną, abyśmy w tym języku, który wskutek przepisów rządu pruskiego zaczyna się stawać dla nas synonimem przymusu, ucisku, gwałtu, niesprawiedliwości, nienawiści, mieli uczyć się zasad łagodności, sprawiedliwości i miłości“.*

Mówca nie obawia się upadku ducha narodowego wśród swych ziomków, nie obawia się, iżby lud polski pod działaniem takiego systematu zmarnieć miał w swej narodowej istocie, a więc nie z przyczyny obawy takiej broni wniosku o wolność wyznaniową. Stawia wniosek ten raczej w imieniu frakcyi polskiej *„ze względu na zasadę oświaty*, że nie należy jakiegoś ludu — dlatego, że jest innym — zmuszać i dręczyć“ a przedewszystkiem ze względu na religią, która ludowi temu zachowaną być powinna, czysta, jasna i nieskażona.

Takim był tok myśli w mowie mecenasa B. Chrzanowskiego, pełnej godności, siły i prawdy, takiej właśnie prawdy, jaką nie zawsze wypowiedzieć możemy, ale w głębi duszy naszej zachowujemy. Czy to nie wstyd dla dwudziestego stolecia, że o tak proste prawo, jak wolność wyznania i swoboda modlitwy w języku ojczystym dopominać się trzeba na arenie parlamentu niemieckiego, funkcjonującego na podstawie niby to konstytucyjnej swobody?

Pretwicz.



Kochniczki.

Jak corocznie, tak i w tym roku, wyprawiło sobie centrum pod koniec sesyi ucztę wspólną. Nie wspomnielibyśmy o tem obszerniej, gdyby na tej uczcie nie zaszedł fakt smutny, dla nas ważniejszy, który w każdem sercu polskiem wywołać musi boleść i przykrzejsze jeszcze uczucie upokorzenia.

W tej uczcie centrowej wzięło udział trzech posłów polskich: prezes Koła parlamentarnego, książę *Radziwiłł*, pan szambelan *Cegielski* i pan dr. *Komierowski.*

Gładkiemi słowami starali się ich ująć centrowcy. Jeden z mówców centrowych prawił im komplementa, jak miód słodkie, o wspólności celów i haseł, o dzielności polskiej itp. zachęcając do dalszego wiernego „współpracownictwa.“ Już to Niemcy dobrze nas znają i wiedzą, jak nas pogłaskać, czem rozczulić. I tu się nie zawiedli! Zaraz oto po tej zajmującej przemowie powstał książę Radziwiłł i nie poskąpił serdecznych wyrazów życzliwości dla centrowców, jako dla „najlepszych polskich przyjaciół i sprzymierzeńców.“ W toku zaś swego przemówienia nie omieszkał wynurzyć swego żalu, że w ostatnich czasach pojawiły się dążności, zmierzające do rozbicia starego sojuszu. Dążności te są złe i zasługują na potępienie. Oby nieporozumienie między centrum a Polakami znikło z widowni i zapanowała znów zgoda. Mówca zakończył okrzykiem: „niech żyje centrum!“

Zadźwięczały puhary i szklannice, a polskiemu mówcy przywtórzono z zapałem.

Jak się w tej chwili śmiać musiał w duszy p. hr. *Ballestrem*, który uczcie przewodniczył, ten hr. Ballestrem, który to Polaków ślązkich radził bić po twarzy, który wspiera germanizacyą i teatry hakatystyczne, który interpelacyą polską w sprawie *Wrześni* spycha na szary koniec rozpraw parlamentu, aby już nie przyszła na porządek obrad. Jakże śmiać się musiał hr. *Hoensbroech*, potwarca duchowieństwa i ludu polskiego, którego zapewne także nie brakło na tej uczcie. Jakże śmiali się ci dygnitarze niemiecko-katoliccy, którzy to polskich katolików nazywają mniej wartościowymi lub zgoła: „Ein verkommenes Volk!“

Rozradowały się dusze Krzyżaków katolickich od Warty, Wisły aż pod Ren i Mozelę, dusze tych germanizatorów w sukience kapłańskiej, którzy pod osłoną potężnego centrum tępią polskość na Slązku i tych, którzy rodakom naszym na obczyźnie odmawiają pociech religijnych w ojczystym języku. Rozradowali się i ci, którzy u nas zatruwają życie polskim księżom i księdzu Arcypasterzowi, którzy wnoszą niemczyznę do prastarych świątyń polskich, denuncyują polskich księży i stanowią nieledwie straż przednią protestanckiej *hakaty.*

Radością wezbrały ich serca, bo oto z ust przywódzcy posłów polskich usłyszeli słowa pełne przebaczenia i miłości, usłyszeli nawet coś na kształt słów potępienia na tych Polaków, którzy w przyjaźń i życzliwość centrowców nie wierzą. Ale czy za to nie jękły serca biednych naszych robotników polskich na obczyźnie, gnębionych przez niemieckich katolików, oraz serca miliona ludu na Ślązku, któremu to centrum odmówiłoby naj-

chętniej wszelkich praw narodowych i politycznych...

A nam o lud ten chodzić powinno, powinno nam zależeć na tem, ażeby nie popadł w sidła socyalizmu, bałamucony pod względem narodowym.

Mamy wszelki szacunek dla osoby księcia Radziwiłła, tym bardziej więc ubolewamy, że toastem swoim stanął niejako w przeciwieństwie do postulatów doby bieżącej. Dziś nie pora na komplementy i sercowe wynurzenia! Wypowiedziano nam walkę bezlitośną wprost, bezpardonową. Centrum w walce tej nie przynosi nam pomocy szczerej, nie ma dla nas nic, prócz słów — a co więcej, pokątnie wspiera nawet germanizacyą, tolerując wszelkie antypolskie wybryki swych stronników. Bronić się przeto musimy bez jego pomocy. Jeszcze, dzięki Bogu, jesteśmy dość silni, aby módz się bronić o własnych siłach, *jeżli siły te należycie wyzyskamy, jeżli skupimy je na całej przestrzeni od Mysłowic do Pucka i jeszcze żebrać obcej pomocy, opłacać jej ciężkim haraczem ustępstw i upokorzeń nie potrzebujemy.*

Treść toastów rozniósł telegraf na wszystkie strony i zapewne zdaje się teraz polakożercom katolickiego wyznania, że jak dotąd, tak i dalej mogą gnębić lud polski na Śląsku, dalej obrażać polskich księży i całe społeczeństwo, dalej narzekać na *„wielkopolską agitacyą.“* Skoro Koło polskie tak bardzo pragnie jego pomocy, drwić można z polskich *„zapaleńców“* i z ich dążności.

To dla polskiego ludu upokorzenie wielkie, ale upokorzenie, któremu kłam zada. Pokaże on niewątpliwie, że ma silną duszę, że nie umie całować ręki, która go bije, lecz że umie walczyć i bronić praw swoich, swej *godności.*

Verus.



W sprawie „bałamuctwa.“

o którem rozpisaliśmy się obszerniej w przedostatnim numerze „Pracy“, pan Józef Mycielski z Kobylopola ogłosił następującą wzmiankę:

„Pod tytułem „Bałamuctwo“ zamieścił nr. 17 „Pracy“ ostrą nader polemikę przeciw artykułowi memu o „tajnych związkach“, zamieszczonemu niedawno w „Wielkopolaninie“. Artykuł „Pracy“ podpisany jest słynnym pseudonimem „Vester“, który już *tyle bólu głowy sprawił naszym najserdeczniejszym.* Autor bierze przedewszystkiem w obronę młodzież polską, która dotkliwie cierpi za to, że w ukryciu, gdy nie można było inaczej, pielęgnuje najświętsze skarby narodowe. Na te wywody pana „Vestera“ najzupełniejsza zgoda. Sam swego czasu należałem do podobnych związków i wyparłbym się moich synów, gdyby się chcieli od nich usuwać, *gdy dojdą do odpowiednich lat.*

Lecz cóż to wszystko ma do czynienia z moim artykułem? Mówiłem o *tajnych związkach politycznych, zakrawających na spiski,* lecz ani słówkiem nie wspomniałem o stowarzyszeniach młodzieży, mających na celu naukę rzeczy ojczystych i ani mi się nie śniło takowe podciągać pod tę samą kategoryą.

Pan „Vester“ sądzi, że widzę strachy, gdzie ich nie ma. Ucieszyłbym się niezmiernie, gdyby się okazało, że obawy moje są płonne, liczne atoli dowody uznania, jakie odebrałem za mój artykuł, dowodzą mi, że słowa moje były na czasie, choćby tylko, jako przestroga, Boże daj, aby była zbyteczną.

Józef Mycielski.“

Że pan J. Mycielski zainteresował się specyalnie „bólem głowy naszych najserdeczniejszych“, o to mniejsza. Natomiast, gdy dostrzega, że nasze wywody „niemają nic do czynienia“ z jego artykułem, jesteśmy zniewoleni oświadczyć wręcz, że się myli.

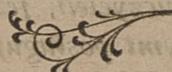
P. Mycielski — przypominamy to raz jeszcze — mając na myśli młodzież, wystąpił ostro przeciwko „spiskom“ i „tajnym związkom politycznym“, „przeciwko poddawaniu się tajnym władzom“, „wyrzekaniu się dobrowolnemu wolnej woli“, nakoniec przeciwko „świętokradztwu“ i „ślepej przysiędze, co świętą sprawę jedynie splugawić może“ itd.

Zwroty powyższe widocznie skierowane były do naszej młodzieży wielkopolskiej, a ponieważ, ani zabiegliwa policya, ani prokuratorya pruska, ani nawet dyskretna opinia naszego społeczeństwa nie dotarła do żadnych zgoła konspiracyi z tego, po prostu powodu, że ich niema, więc rozpisywanie się w tym sensie, jakby istniały, uważaliśmy za niewłaściwe.

Poczytaliśmy nawet rozprawianie w tym duchu i w tej treści za bałamutne z tego względu, że młodzież, ani spiskująca, ani rewolucyjnie sprzysiężona, a jedynie miłująca naród i Ojczyznę, i poczuwająca się do obowiązku poznawania dziejów i literatury polskiej choćby w ukryciu — zarzutami tego rodzaju może się raczej zniechęcić, niżli przywiązać do poczciwej, a w każdem sercu szczerze polskiem jednakiej sprawy. Jeśli zaś pan Mycielski wyłącza stowarzyszenia młodzieży, mające naukę dziejów ojczystych w programie, z kategoryi „spisków“ i „tajnych politycznych stowarzyszeń,“ to musi wyłączyć jednocześnie całą młodzież naszą, która z Mickiewiczem, Słowackim lub Sienkiewiczem w ręku nie miała zamiaru iść wprost na armaty Kruppa. Więc w kogóż właściwie autor chciał istotnie uderzyć, jeśli nawet policya wraz z prokuratoryą ani rewolucyonistów, ani konspiratorów nie wytropiła, bo ich nie było?

Autor napomyka o „licznych dowodach uznania za artykuł mu nadesłanych.“ Nie przypuszczając, iż chciał to przytoczyć, jako argument swej słuszności, poprzestajemy na zwięzłej wzmiance, że naszem zdaniem najliczniejsze nawet dowody uznania nie stanowiłyby dla młodzieży naszej osobliwej pociechy.

Vester.



Kilka słów zasadniczych z powodu sprawy v. Heyden-Zielewicz i spraw innych.

Z prowincyi, 6 maja 1902.

W numerach 17 i 18 „Praca“ poruszyła sprawę pp. Zielewiczów, słusznie piętnując nie tylko synów, lecz i ojca, bo dzieci są często takiemi, jakiemi ich wychowali rodzice, tutaj zaś należy przyjąć to tem bardziej, ponieważ ten krok uczyniło trzech synów a nie jeden, któryby mógł się odrodzić od reszty bez winy rodziców. Zresztą już przed 15 laty pewien poznański nauczyciel zwracał mi uwagę na to, że p. radzca usiłuje się wynieść na wszelki sposób. Nic dziw, że to usposobienie przeszło na synów; lecz dziwna, że nie poznano się na tem w Poznaniu i p. radzcę obdarzano zaufaniem prawie ogólnem.

Ponieważ Powidzanie po okupacyi pruskiej mieli zapewnione szlachectwo polskie, uzyskane dawniej, przeto jeden z synów p. radzcy starał się wydobyć dla rodziny dowód szlachectwa powidzkiego, ale starania jego były daremnemi, bo okazało się, że dziad p. radzcy, młynarz ze wsi Jaworowa pod Mielżynem, jako „przybysz“ ożenił się z Powidzanką już za czasów zaboru pruskiego, a przeto nie miał prawa do szlachectwa. Po otrzymaniu owego dokumentu nie zgłaszał się już do Powidza, lecz starał się dogodzić ambicyi przez zyskanie szlachectwa niemieckiego.

Wszyscy mamy teraz prawo żądać od p. radzcy, aby urząd sekretarza Pomocy Naukowej złożył w najkrótszym czasie, a jako członka dyrekcyi przy wyborach najbliższych, tak iżby opinia publiczna miała swe zadosyćuczynienie. Sądzę zaś, że nie będzie inaczej, niż w r. 1863 przeciw śp. X. Aleksemu Prusinowskiemu. Ten był miłośnikiem Ojczyzny zawsze, ale że wówczas w „Tygodniku katolickim“ wydrukował list śp. X. Kajsiewicza, napisany w duchu przeciwnym ówczesnemu prądowi narodowemu, nie wybrano go odtąd do dyrekcyi na nowo, mimo, że znaczna liczba głosowała za nim corocznie, uważając, że mu się dzieje krzywda. Panu radzcy krzywda nie stanie się żadna, ponieważ zlekceważył całe społeczeństwo polskie, a tem samem przestał dla niego istnieć.

W numerze 17 wystąpiła też „Praca“ przeciw zakusom płaszczenia się przed tymi, którzy mowami swemi w ostatnich czasach dali poznać, iż Polaków widzieć nie pragną. Ci, którzy odważą się bez potrzeby na krok taki, większą nam wyrządzą krzywdę, niż ją zadają wrogowie, bo wystawią nas na pośmiech narodom innym. Może do tych, co chcą uchodzić za przewodników społeczeństwa naszego, należą tacy, co to — jak pewien radzca landszaftowy z Wrzesińskiego — oburzali się na sprawę wrzesińską i o ks. Laskowskim, który nie prowadził polityki żadnej, lecz tylko sumiennie wypełniał obowiązek, głosili, że „prowadzi politykę dziecinną,“ a tym sposobem ubliżali Ks. Arcypasterzowi, bo twierdzili innemi słowy, jakoby tenże na księży wyświęcał „dzieciaków.“ My za przywódzców naszych możemy uważać chyba tych, których wybieramy sobie, czy to komitet wyborczy czy posłów, ale nie jakichś samozwańców.

Nieraz będąc pokrzywdzonymi od jakiego urzędnika, udajemy się na drogę zażaleń do wyższych władz administracyjnych zamiast udać się na drogę sądową. I tak n. p. czyby ów sołtys w Ojrzanowie niemógł wnieść skargi o szkodzenie mu referatem, którego prawdziwości referent nie zdołał udowodnić sądownie? To znowu czyby rodzice nie powinni o poszkodowanie skarzyć nauczyciela, któryby ich dziecku zabrał książkę polską? Albo wreszcie czyby po rozwiązaniu wieca nie należało wytoczyć skargi o wynagrodzenie strat spowodowanych nieprawnem rozwiązaniem, zwłaszcza jeśli rozwiązującemu zwróci się uwagę na nieprawność postąpienia? — Nam zaglądają do kieszeni, zaglądajmy i my do kieszeni naszym „najserdeczniejszym,“ a w działaniu bezprawnem będą przynajmniej ostrożniejszymi, bo straty pieniężne działają zwłaszcza na Niemców, jak na to wskazuje własne ich przysłowie: „In Geldsachen hört die Gemütlichkeit auf.“

Stały prenumerator.



Władztwo
nad Oceanem Spokojnym.

Jednem z najważniejszych zagadnień politycznych współczesnej doby jest to, kto zawładnie największym z oceanów globu ziemskiego — Oceanem Spokojnym. Jak wiadomo wody jego oblewają wschodnie wybrzeża Azyi, brzegi stałego lądu Australii i zachodnie wybrzeża Ameryki. Do niedawna Ocean Spokojny nie był jeszcze przedmiotem sporu o panowanie na jego niezmiernych przestrzeniach, gdzie krążyły swobodnie tu i owdzie floty wszystkich państw morskich.

Obszar tego olbrzymiego morza, obliczony na 33,300,000 mil kwadratowych, stanowi blizko połowę całej powierzchni wody na kuli ziemskiej.

Od czasu odkrycia kopalni złota w Kalifornii w roku 1748 i w Australii w roku 1852 Ocean Spokojny stał się widownią głównego wszechświatowego ruchu handlowego, mając na obu pobrzeżach mnóstwo kwitnących miast handlowych. Obecnie układ wszechświatowej polityki wysuwa na pierwszy plan kwestyą panowania nad ogromnemi obszarami Oceanu Spokojnego, które w dziejach XX stolecia niezawodnie stanie się teatrem bardzo ważnych i doniosłych w następstwie wypadków.

Sprawie tej poświęcił obszerną broszurę znany w kwestyach polityki wschodnio-azyatyckiej publicysta Colguhoun.

Po przekopaniu kanału Panamskiego — jak słusznie zauważa Colguhoun — droga pomiędzy portami Ameryki a wybrzeżem azyatyckiem Oceanu Spokojnego skróci się znacznie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Stany Zjednoczone Ameryki północnej, zwłaszcza po ostatecznem przyłączeniu wysp Filipińskich, odegrają najwybitniejszą rolę na tymże Oceanie. Z innych mocarstw morskich Niemcy w ostatnich czasach zajęły port Kiau-Czau, Apię, jeden z najlepszych portów świata i Nową Gwineę. Japonia stała się pierwszorzędnem mocarstwem morskiem, a Anglia oparta o Australię, ma również uzasadnione pretensye do władania na wodach Oceanu Spokojnego.

Po za tem Rosya przez zbudowanie wielkiej drogi żelaznej w Syberyi i nowe zabory w Chinach została nader silnie zainteresowaną w sprawach Oceanu Spokojnego i znalazła się na jego wybrzeżach w wyjątkowo pomyślnych warunkach. Natomiast Portugalia i Hiszpania prawie że znikły z jego wybrzeży, a ocalała tylko Holandya. Wszelako i jej posiadłości, należące do wód Oceanu Spokojnego, wśród nowoczesnego ukształcenia stosunków niepewne.

Podług zdania Colguhouna — z pomiędzy wszystkich mocarstw morskich jedynie Anglia, Stany Zjednoczone i Japonia mają najwięcej danych do panowania na tym Oceanie, albowiem znajdują się w najpomyślniejszych warunkach jako państwa morskie.

Anglii, mogącej się najlepiej urządzić na wybrzeżach swej Kanady, przypada w szeregu mocarstw morskich najkorzystniejsze położenie. Najwybitniejszą atoli rolę w przyszłości przeznacza autor Stanom Zjednoczonym Ameryki północnej, posiadającym niezmierne bogactwa przyrodzone i postępującym szybko w rozroście liczebnym swej ludności.

Rozprawa publicysty amerykańskiego wypełnioną jest licznemi dowodami i uzasadnieniami własnych poglądów. W rzeczywistości jednak są to tylko przypuszczenia i przepowiednie, zawodzące tak często w rozwoju politycznych wypadków! Zawodzą one przecież tak często, nie tylko w szczegółach, ale nawet w głównej rzeczy, a natomiast zachodzą wypadki zupełnie nieprzewidywane poprzednio.

Wszakże nikt nie przewidywał, by potężna i bogata Wielka Brytania nie mogła tak długo pokonać maleńkiego narodu Burów, którego liczba ogólna nie dorównywa nawet cyfrze wojsk angielskich. Nikt też nie przypuszczał, iżby wojna ta zadała tak dotkliwy cios wszechświatowemu stanowisku politycznemu Anglii, a przecież tak bardzo skrępowała jej ruchy w stosunkach międzynarodowych!

A czy ktośkolwiek przewidywał, żeby Stany Zjednoczone nie posiadające silnej armii lądowej, ani też stałej floty wojennej, tak szybko i tak zupełnie zgromiły Hiszpanią.

Podobnych przykładów możnaby zaczerpnąć z dziejów moc niezliczoną, a z nich wysnuć tę prawdę, że bardzo zawodnemi są rachuby sił i przepowiednie donioślejszych dziejowych wypadków podług spostrzeżeń, choćby nie wiem jak bystrych, z chwili bieżącej. A i to, zasługuje tu na wzmiankę, że w rozwoju zdarzeń dziejowych często-kroć wchodzą w grę czynniki inne jeszcze, nie widoczne na razie, a nurtujące gdzieś w głębi i powodujące nową niespodzianą kombinacyą.

Tenże sam publicysta amerykański Colguhoun napisał przed 4 laty broszurę o Chinach, w której pomiędzy innemi przewidywał zwycięstwo rozstrzygające Japonii nad Chinami, a nie brał pod uwagę wypadków, które się wkrótce potem istotnie rozegrały, ani też stosunków, jakie się wśród i po wyprawie chińskiej między mocarstwami wytworzyły. W rozprawie zaś o panowaniu na Oceanie Spokojnym Colguhoun nie liczy się z Francyą, której w poprzednim swym elaboracie wiele poświęcił miejsca. A wszakże obecnie, po wypadkach chińskich z lat 1899/1900, Francya zajmuje w Chinach stanowisko bardzo poważne, opierając się o Tonkin i rozporządzając dużemi wpływami w południowych prowincyach Chin, a podobne wpływy posiada Rosya w Chinach północnych. Jedna chyba tylko Japonia, z przyczyny swego położenia geograficznego, może przeważyć wpływy francuskie i rosyjskie w Chinach. Natomiast ani Stany Zjednoczone ani też, i to tem mniej, Niemcy nie mają tyle widoków na rozszerzenie wpływów swych w Chinach, ile ich mają Francya i Rosya, pierwsza oparta o Tonkin, druga o Mandżuryę. Okoliczności tej nie można pomijać, snując kombinacye o dalekim Wschodzie, gdzie wcześniej lub później rozegra się kwestya panowania na Oceanie Spokojnym. To zaś pewne, że kto owładnie Chinami lub pozyska tam przewagę wpływów, do tego należeć będzie Ocean Spokojny, a przynajmniej cała jego część wschodnia.

Pozornie więc i nie na długo pewnie sześć mocarstw interesowanych na tym oceanie rozgraniczyło sferę swoich wpływów. Francya zajęła Chiny południowe, Rosya północne, Niemcy + Anglia środkowe, Japonia Koreę, Stany Zjednoczone kompleks wysp filipińskich. Dalszy rozwój sprawy wschodnio-azyatyckiej zależy od współzawodnictwa mocarstw, od ich siły kulturalnej i od stosunków handlowo-przemysłowych, nawiązanych z Chinami.

Słuszność ma Colguhoum, że w rozwikłaniu wielkich zagadnień Wschodu Stanom Zjednoczonym bardzo poważna przypadnie rola, odpowiednio do postępującego szybko handlowo-przemysłowego ich rozwoju. Kto jednak zostanie władzcą Oceanu Spokojnego, obecnie przewidzieć trudno.

Hermes.



Z TYGODNIA.

Najważniejszym wypadkiem ostatniego tygodnia były *wybory* do Izby deputowanych we *Francyi*. Wybory te jeszcze nieukończone, w niedzielę dnia 11-go maja odbędzie się bowiem drugi, ostatni ich akt: wybory ściślejsze w tych okręgach, w których przy pierwszem głosowaniu żaden z kandydatów nie otrzymał absolutnej większości; dziś już jednakże dokładnie niemal ostateczny ich rezultat przewidzieć można. A rezultat to dla *katolickiej* Francyi nie zbyt pochlebny. Dla nas Polaków zwłaszcza trudne to do zrozumienia, jak kraj z wyłącznie katolicką ludnością, kraj szczycący się mianem najstarszej córy Kościoła stale tolerować może rządy niedowiarków i masonów, uciemiężających wszelkiemi sposobami Kościół, religią i duchowieństwo. I teraz ot spełzły na niczem ogromne wysiłki partyi narodowo-katolickiej, aby rozbić większość protestancko-masońsko-socyalistycznego rządu — jakim jest gabinet pana *Waldeck-Rousseau*, pomimo, że gabinet ten w ostatniej jeszcze chwili w własnej taktyce popełnił kilka błędów, które mogły były zrazić wielu jego stronników. Nigdy też, odkąd istnieje trzecia republika, walka wyborcza we Francyi nie była tak zacięta jak obecnie; zwalczano się wzajemnie godziwemi i niegodziwemi sposobami — przyczem mniej godziwe i niegodziwe były przeważnie po stronie zwolenników rządu — ostatecznie atoli skład Izby deputowanych pozostanie niemal takim samym, jakim był w przeszłej kadencyi. Jeźli się zaś weźmie na uwagę wielką agitacyą, rozwiniętą przez stronnictwa antirządowe, to przyznać trzeba, że rząd odniósł nawet zwycięztwo. Co w jednem miejscu stracił, to zyskał w innem, tak że stronnictwa, na których się opiera, wrócą w dotychczasowej liczbie. Przeciwnikom rządu powiodło się jedynie odebrać mandaty kilku wybitnym radykałom rządowym, mianowicie nieprzejednanemu wrogowi Kościoła, *Brissonowi*, sami atoli stracili również kilku wybitnych swoich. Najważniejszym objawem i wynikiem walki jest zupełne niemal odwrócenie się *Paryża* od rządu. Ten nowoczesny Babel, to źródło niewiary i rewolucyi — wybrał tym razem niemal wyłącznie tak zw. nacyonalistów, a więc najzawziętszych przeciwników panującego dziś prądu masońsko-antykatolickiego. Ponieważ Paryż zwykle w polityce nadawał ton całej Francyi, więc optymiści przypuszczają, że to zły omen dla rządu, a zapowiedź reakcyi w całym kraju. My to jednakże uważamy za jeden z częstych kaprysów Paryżan i nie przywięzujemy do objawu tego żadnego głębszego znaczenia.

Wszystko więc pozostanie we Francyi takiem, jakiem było dotychczas. Jeźli nie zajdą nie dające się przewidzieć wypadki — gabinet pana Waldeck-Rousseau długo pewnie jeszcze dzierzyć będzie w swych rękach losy Francyi — prezydent *Loubet* zaś spokojnie może pojechać do Petersburga, dokąd, jak wiadomo, zaprosił go własnoręcznem pismem car *Mikołaj*.

Co prawda, to w obecnych czasach taka wycieczka do Petersburga nie należy do zupełnie „bezpiecznych“ przyjemności, i kto wie, czy pan *Loubet*, chociaż niby także w nic nie wierzy, nie przeżegna się szczerze, zanim wysiądzie na petersburskim brzegu. Faktem ot zdaje się być, że w *Rosyi* istnieje szeroko rozgałęzione sprzysiężenie, które wzięło sobie za zadanie wywalczenie większej swobody zamachami na wybitnych dygnitarzy, a kto wie, czy także nie na cara. Że zaś czujność władz policyjnych nie zawsze zdoła przeszkodzić zamachom takim, to chyba ostatnie wypadki w Rosyi dowiodły najlepiej. Kto wie zatem, czy i podczas uroczystości na cześć gości francuskich nie pęknie jaka bomba lub nie padną strzały rewolwerowe. Niestety i dziś nie ma najmniejszej nadziei, iżby system rządowy w Rosyi uledz miał jakiejkolwiek zmianie w kierunku liberalniejszym. Pojawiły się wprawdzie pogłoski, że car nosi się z myślą nadania państwu konstytucyi, ale pogłoski te zakrawają na zwykłe „kaczki dziennikarskie“. Rząd rosyjski ma bądź jak bądź obecnie dużo do czynienia. Nietylko bowiem zwalczać musi rewolucyjne spiski i dążności, ale także bunt chłopów w południowych guberniach. Ten bunt chłopski nie ma wprawdzie z ruchem rewolucyjnym, który wydał mordercę Sypiagina, nic wspólnego, przyczyną jego jest wyłącznie głód, jaki cierpią włościanie w tych stronach, mimo to ze względu na rozmiary, jakie przybrał, sprawia rządowi dużo ambarasu.

Dzień *1 maja*, owo *„święto socyalistyczne“* — minął w tym roku w całej Europie bardzo spokojnie. Zdaje się, że ogromnej większości nawet socyalistycznych robotników taka demonstracya kosztowna, bo połączona ze stratą zarobku i zatargami z pracodawcami, już się sprzykrzyła. W Berlinie naprzykład świętowała w tym roku ledwie czwarta część armii socyalistycznej. Pomyślny to w każdym razie objaw.

A-pros-pos *1 maja* zanotować tu musimy ciekawe zajście, jakie wydarzyło

się *w parlamencie berlińskim*. W przededniu tegoż „święta" zażądali członkowie parlamentarnej komisyi petycyjnej, aby ze względu na nich nazajutrz nie odbyło się posiedzenie. I o dziwo! większość konserwatywno-centrowa przystała na to żądanie i tak sławetna komisya petycyjna niemieckiego ciała prawodawczego również świętowała w dniu 1. Maja! Jest to pierwszy tego rodzaju wypadek w dziejach, „bardzo poważnego" tego ciała, słusznie tedy wywołał niemałe zdumienie. W gruncie rzeczy jednakże nie jest bynajmniej „dziwnym". Bo oto przyczyną tej niezwykłej łaskawości konserwatystów i centrowców dla „szanownych kolegów" jest — strach, strach przed ich gniewem. Trzeba ot wiedzieć, że posłowie socyalistyczni na wypadek, gdyby rząd miał się przychylić do żądań agraryuszów w sprawie ceł zbożowych, zagrozi taką samą obstrukcyą, jaką posłom naszym zalecał „Kuryer Poznański". A że posłowie socyalistyczni nie są tak względni dla rządu i stronnictw rządowych, jak nasi posłowie, więc ta ich groźba napędziła stronnictwom tym niemałego „pietrka" i jedynie z tej przyczyny reprezentanci ich przystali w owej komisyi na śmiałe żądanie socyalistów. Widzimy oto, jak skutecznym mógłby być w danym razie i dla nas taki środek, cóż kiedy *nam* braknie odwagi do skorzystania z niego.

O nowym projekcie rządowym, żądającym aż 250 milionów marek na dalszą kolonizacyą dzielnic polskich, piszemy na innem miejscu. Tu tylko wspomnimy o małej dyskusyi polskiej, jaka toczyła się w pruskiej *Izbie Panów*, także na temat *komisyi kolonizacyjnej*.

Izba ta obradowała d. 3-go b. m. nad tegorocznym memoryałem komisyi. Przy tej sposobności przemawiali z polskiej strony pan *Józef Kościelski* i książę *Ferdynand Radziwiłł*. Obaj mówcy zajęli stanowisko zbyt *lojalne*, mimo to przez marszałka Izby *powałani zostali do porządku*, co w tej „poważnej" Izbie rzadko się zdarza. Pan Kościelski zarzucał komisyi, że nie tylko jest tworem, sprzeciwiającym się konstytucyi, ale nadto, że operuje w sposób z kupieckiego punktu widzenia nie zupełnie „poprawny", że posługuje się nawet *maskowanemi bilansami*. Przeciwko temu ot buntują się l o j a l n e uczucia pana Kościelskiego. Zdaniem jego instytucya tak postępująca, nie powinna nazywać się królewską — gdyż to ubliża tronowi.

Nie pomogły ot te dziwne „monarchiczne uczucia" mówcy, marszałek mimo to przywołał go do porządku za owe „maskowane bilanse". My zaś woleli-byśmy, ażeby pan Józef Kościelski nie manifestował już tak jaskrawo swych uczuć lojalnych, bo z niemi Polakowi w Prusach dziś nie bardzo do twarzy.

Tak samo poszło księciu *Radziwiłłowi*, gdy zaznaczył, że „dobrodziejstwa kulturalne," jakie daje nam rząd, polegają na dziwnem pomięszaniu pojęć u rządu. I to nie podobało się marszałkowi. Nam zaś nie podoba się owo wyrażenie o „*dobrodziejstwach kultury*," spływających rzekomo na nas z ręki rządu. Ogół polski, upadający pod temi rzekomemi „dobrodziejstwami", ma na nie zupełnie inną, a daleko trafniejszą nazwę, której niestety, ze względu na prawo prasowe przytoczyć tu nie możemy.

Inaczej, przedewszystkiem przyjemniej, brzmiała dla polskiego ucha mowa posła p. mecenasa *Chrzanowskiego*, wypowiedziana w tym samym czasie w parlamencie niemieckim, przy obradach nad wnioskami tolerancyjnemi partyi Centrum. Wniosek ten dotyczy jedynie tolerancyi religijnej, poseł Chrzanowski uzupełnił go atoli wnioskiem dodatkowym, żądającym, aby nauka religii odbywała się w języku ojczystym dzieci. Uzasadniając ten wniosek mówca zaznaczył, że język niemiecki, narzucany nam w sposób gwałtowny, stracił przez to charakter języka kulturalnego i jest dziś dla Polaków *tylko językiem nienawiści i niesprawiedliwości*.

Smiałe te słowa mówcy wywołały „wielkie poruszenie" po stronie naszych wrogów. Zaraz też powstał poseł *Oertel* i wyraził ubolewanie, iż w parlamencie padają tak ostre a przykre dla Niemców słowa i zagroził, że odbiorą one Polakom „*resztę sympatyi*."

A no, panowie Niemcy, my z tej waszej sympatyi drwimy. Sympatyi od was nie żądamy, jeno *sprawiedliwości*, a nie nasza wina, że w ten „nieprzyjemny dla was sposób" o nią upominać się musimy.

K. O.



PRZEGLĄD PRASY.

Mamy w dziejach naszych wypadki, tak wielkiego znaczenia, tak święte, że ani na chwilę nie wolno nam o nich zapominać, lecz przeciwnie w każdą przynajmniej rocznicę odświeżać należy ich pamięć. Stanowią one bowiem skarbnicę, z której duch narodu zawsze jeszcze pełną dłonią czerpać może nowe siły a conajmniej pokrzepienie. Do tych wypadków przeszłości należy mianowicie *Konstytucya 3 maja*. Jeżli zaś, gdzie, to właśnie *w pruskim zaborze* odświeżać winniśmy wspomnienie tej chwili wspaniałej — aby wiedziała o niej młodzież nasza, karmiona w szkołach obcą chwałą i wielkością. Spodziewaliśmy się też, że prasa nasza codzienna poświęci jej krótkie chociaż wspomnienie. Tymczasem zawiedliśmy się bardzo. Prawie głucho minęła u nas pamiętna rocznica. Oprócz „Pracy" jedyny „Kuryer Poznański" poświęcił jej w dniu 3 maja treściwe wspomnienie wiekopomnej konstytucyi, a „Goniec Wielkopolski" rozpisał się o niej w gorętszych słowach pod spóźnioną nieco datą. Inaczej dzienniki galicyjskie. Dzięki ich inicyatywie społeczeństwo polskie zaboru austryackiego znów ożywiło w sercu swem wspaniałej chwili pamięć, a z głosów, jakie się tam dnia 3 maja odezwały, warto szczególnie przytoczyć następujący krakowskiej „Nowej Reformy":

„Mija rok za rokiem, każdy coraz bardziej oddala nas od tej wiekopomnej chwili, lecz w miarę mnożenia się lat między nią a nami, dzieło jej przedstawia nam się coraz potężniej, coraz okazalej.

„I dziwić się temu nie można. — Codziennie przecież patrzymy na owoce posiewu, jaki wówczas rzucono w duszę narodu, a owoce to coraz bujniejsze, coraz piękniejsze.

„Z tych wprawdzie, których ojcowie dobrowolnie wówczas zrzekli się części swych praw kastowych dla dobra Ojczyzny, nie wszyscy jeszcze przejęli się ich duchem, niezupełnie jeszcze zrozumieć zdołali, że tylko równouprawniony współudział wszystkich warstw narodu zdoła przyspieszyć odzyskanie tego, cośmy stracili. W tych kołach pojęcia i aspiracye kastowe często silnie jeszcze drgają i stanowią niekiedy poważną przeszkodę w dokonywującem się narodowem i społecznem odrodzeniu naszem.

„Za to wśród tych, których akt konstytucyi z dnia 3 Maja podniósł do rzędu obywateli kraju, świadomość praw i obowiązków narodowych rozwija się z dniem każdym coraz silniej, coraz pomyślniej. Wnoszą oni nowe soki do ciała narodowego, garną się nietylko do pracy, ale i do ofiar i w zabiegach około wywalczenia lepszej przyszłości przodują dziś wielu potomkom dawnych senatorów.

„Najbardziej zagrożona część Ojczyzny naszej, zabór pruski, opiera się dławiącej go fali germańskiej dziś jedynie ludem swoim. Znikają tam dwory, topnieją szeregi ziemian, szlachty, lecz miejsce tych, którzy przeżyli dawne swe znaczenie w narodzie, zajmuje lud. Z ludu powstaje mieszczaństwo, rekrutują się głównie zastępy inteligencyi, która silną ręką ujmuje w swe dłonie wypadający z rąk szlachty sztandar narodowy i pod tym znakiem zwalcza wściekłą furyę pięćdziesięciomilionowej przemocy.

„Najwspanialszym objawem tej tytanicznej walki obywateli, jakich dał nam 3 maj 1791 — to *Września*, to bohaterstwo dziatwy ludu polskiego.

„Dziś oto widzimy najlepiej, jaka potęga tkwi w masach, które przez tyle wieków odsuwano od praw obywatelskich w Polsce. Dziś też najlepiej ocenić możemy ową chwilę jasnowidzenia, jaka wstąpiła na twórców wielkiego owego przełomu.

„Sławić ją będziemy po wszystkie czasy, sławić twórców tego przełomu — a sławić tem bardziej w miarę, jak dzię-

ki ich myśli przewodniej mnożyć się będą nasze siły odporne, będące najlepszą rękojmią ostatecznego pokonania losu, na jaki skazały nas dawne grzechy i błędy.

„Konstytucya Trzeciego Maja to wielka ich ekspiacya, to początek i zaranie nowego życia narodu, życia, które mimo spadających na nas ciosów tętni coraz zdrowiej i silniej.

„Z wdzięcznością tedy zwracać winniśmy w każdą rocznicę myśl naszą ku owej chwili, a wdzięczności nadawać kształty pochwytne przez coraz to intenzywniejszą pracę nad ludem, dla ludu i z ludem!“

Jakby w przeciwieństwie do wszelkiej idei podniesienia, uświadomienia i narodowego podźwignięcia ludu, rozradowały się właśnie w dniu 3 maja niektóre organa opinii naszej wieścią o toaście ks. Ferdynanda Radziwiłła na cześć niemieckiego centrum. **„Dziennik Poznański“** przy tej okazyi rozpisał się tak:

„Obstrukcya, podejmowana przez garstkę 14 posłów, pomijając śmieszność jej, niewątpliwie powiększyłaby nieporozumienie, które nieoficyalnie (?!) jeszcze istnieje między częścią centrum a Polakami, bo centrum nie mogłoby pozwolić, żeby projekta, o które mu chodzi, wpadły w wodę skutkiem nieustannego domagania się ze strony Polaków wyliczania i dekompletowania izby. Akcya ta zresztą nieudałaby (?) się, więc tylko polityka sensacyi mogła wychodować ten projekt niepraktyczny i niewykonalny. Nie uda się teraz, to znajdzie się zimą sto sposobności, żeby rządowi po wyroku sądu rzeszy w sprawie wrzesińskiej nagą powiedzieć prawdę.

„Ale nie widzimy powodu, żeby koniecznie przed do zerwania z centrum, skoro bez jego parlamentarnej pomocy posłowie nasi żadnej (?!) prawie nie mogliby podejmować akcyi, żadnej w sejmie pruskim wnosić interpelacyi, żadnego podawać wniosku, w żadnej zasiadać komisyi, bo są liczebnie za słabi. A coby się stało, gdybyśmy, o co bardzo chodzi rządowi, popchnęli centrum do opozycyi przeciw nam. Tego zwolennicy takich radykalnych haseł wcale nie biorą w rachubę, bo tacy „politycy“ nie kierują się starą, lecz prawdziwą zawsze zasadą: „Quidquid agis, prudenter agas et respice finem.““

Tylokrotnie już wykazywaliśmy, że od pomocy i protekcyi centrum wyswobodziłoby nas zupełnie — odzyskanie *Śląska i jego 8 mandatów*. Zamiast atoli dążyć do tego, łatwiej oczywiście zalecać wybór posłów do centrum. Możeby dla pozyskania większych względów tegoż stronnictwa wybierać też z Księstwa posłów do tej samej niemiecko-katolickiej frakcyi?

O ewentualnej walce z *Centrum* pisze **„Gazeta Opolska:“**

„W walce takiej centrum straciłoby dużo, prawdopodobnie jeszcze daleko więcej niż Polacy. Być więc może, iż będzie się starało zawczasu o załagodzenie zatargu, a znajdzie do tego sposobność niebawem. Koło polskie postanowiło nie zadowolić się odmową marszałka, lecz odwołać się do wyższej instancyi, do parlamentu samego. Sprawa ponowienia dyskusyi nad interpelacyę księcia Radziwiłła będzie więc przedmiotem dyskusyi i zostanie rozstrzygnięta przez głosowanie. Rozstrzyga zaś centrum. Mogłoby więc uczynić zadość żądaniu Koła polskiego i naprawić błąd popełniony przez hr. Ballestrema, w sposób nieubliżający dla niego.

„Czy to uczyni? — powiedzieć trudno. W każdym razie okaże się, czy większość naprawdę pragnie zgody z Polakami, lub też woli rozpocząć z nimi walkę, aby nie narazić się rządowi. Jeżeli chce zgody, *to od biedy mieć ją jeszcze może*; w razie przeciwnym stosunki mogą zmienić się radykalnie. Prasa, stawiając żądania, aby ponowiono dyskusyę nad interpelacyą ks. Radziwiłła, oświadczyła jednomyślnie, że Koło w razie potrzeby ma zmusić do tego parlament przez obstrukcyę, a mianowicie, przez stwierdzanie braku kompletu posłów przy każdej sposobności. Toby wytworzyło zupełnie nowe położenie. Ale na krok taki zdecydować się bardzo trudno. Nie podobna wcale przewidzieć, coby się w takim wypadku stało.“

Nam przewidzieć to łatwo: „Stałby“ się ot *nowy tryumf sprawy polskiej.*

Zarzuty ministra oświaty pana *Studta* o rzekomem zdziczeniu dziatwy polskiej, odpiera dzielnie **„Goniec Wielkopolski.“** Oto co pisze:

„Wedle słów ministra oświaty pruskiej ma być wynikiem „wielkopolskiej agitacyi“ zdziczenie umysłowe dzieci polskich. Niech się pan minister zastanowi, co mówi. Jeżeli tu i owdzie przejawia się zdziczenie, toć to jedynie szkoła pruska zawiniła, że nie wychowuje podług uznanych zasad pedagogicznych, lecz *germanizuje*, co przecież z wychowaniem nic nie ma wspólnego. Jeżeli w niektórych wypadkach dzieci są pozbawione opieki rodzicielskiej, to szkoła pruska w polskich dzielnicach im tej opieki pod żadnym względem nie zastąpi. Zdarzają się więc wskutek tego zboczenia, o których p. minister wspominał.

„Lecz niech pan Studt weźmie statystykę do ręki, to przekona się niezwłocznie, że zbrodnie dzieci szkólnych przewyższają w *Niemczech*. Tu u nas nie słychać o takich smutnych wypadkach, jak np. o zbrodni 13-letniego Salomona w Hamburgu, którego sąd tamtejszy skazał na *8 lat więzienia* za zgwałcenie i zamordowanie 5-letniego chłopczyka. Wypadki takie, jak powyższy, zachodzą bardzo często w ojczyźnie pana Studta.

„Niech więc pan Studt nie wymyśla na „wielkopolską agitacyę“, lecz jeżeli mu zależy rzeczywiście na tem, żeby polskie dzieci nie poszły śladem swych rówienników niemieckich, to *niech czemprędzej zmieni pruski system wychowania!*

„Nikt z nas nie łudzi się jednakowoż pod tym względem; wiemy, że rząd pruski się nie cofnie. Pan Studt przemawiał mniej nerwowo, niż na początku sesyi sejmowej, a za to więcej pewny siebie. Prusacy są zwykle wtedy nerwowi, gdy obmyślają nowe plany. Pewność siebie, z jaką przemawiał minister, dowodziłaby więc, że są gotowe nowe plany. Przypuszczaćby można, że wedle wzoru wrzesińskiego rząd będzie powiększał liczby nauczycieli, przez co się powiększą wydatki gmin szkólnych. Prusacy idą na przebój.“

Na zarzuty hr. *Hoensbroecha*, członka izby Panów, znajdujemy ciekawą odpowiedź w **„Przeglądzie Katolickim.“** Autor tej odpowiedzi ks. dr. *Trzciński* pisze między innemi:

„Ale czy my, słudzy ołtarza, interesując się kwestyami życia pospolitego, nie schodzimy z wyżyn powołania swego? Tylko zupełna niepamięć na przeszłość dziejową chrześcijaństwa może narazić na tę wątpliwość.

„Cóżby się stało, gdyby Kościół, po zaniku potęgi starożytnego Rzymu, świeżym szczepom, napływającym z północy, odmówił wszelkich innych dobrodziejstw krom wody chrztu św. Rozpaczliwa anarchia periodu ludoruchów przedłużyłaby się w czasy nieobliczone. Ale dźwigając te rzesze, kulturalnie nizko stojące, wszelkimi sposobami ku wyższej fazie życiowej i społecznej, podbił Kościół na nowo Europę i przygotował epokę tryumfu krzyża, za którą dziś z tęsknotą się oglądamy, jak za utraconym rajem. Mnich reguły św. Benedykta, ów typowy pionier chrześcijaństwa, rozstawiony od urwistych wzgórz Apulii, aż do brzegów Szkocyi, szalejącym oceanem szarpanych, od Hiszpanii kąpiącej się w promieniach słonecznych aż do ziemi Lechitów, chłodną mgłą spowitej, wszędzie zaczyna misyę swą trzebieniem borów i szczepieniem wzorowego gospodarstwa i dopiero wygładziwszy surowe popędy ludu, budzi w nim świadomość dziejowego przeznaczenia i czyni posłusznem narzędziem myśli Bożej.

„Sredniowiecze minęło, lecz chrześciaństwu pozostało nadal szczytne zadanie wychowania społeczeństw i krzewienia szlachetnej kultury....“

Na zakończenie przytaczamy jeszcze następujące trafne uwagi **„Gakety Toruńskiej“** o sądownictwie pruskiem:

„Po procesach w Toruniu, Gnieźnie i Poznaniu, wywołanych przez stosunki szkólne, które tak wielkie budzą niezadowolenie wśród ludności polskiej, uwaga całego naszego społeczeństwa zwróciła się na Lipsk, w nadziei, że sąd Rzeszy zniesie wyroki sądów ziemiańskich. Kiedy wyroki jeden po drugim zatwierdzono, zaczęły się, mianowicie w prasie zakordonowej, odzywać głosy oburzenia, a prawie cała opinia publiczna wezwała posłów naszych jednomyślnie, aby sprawę poruszyli z trybuny parlamentarnej.

„Naszem zdaniem nie tędy wiedzie droga do naprawy stosunków w sądownictwie, o ile budzą nasze niezadowolenie. Ministrowie bowiem mogą udzielić prokuratorowi wskazówek, kogo i za co ścigać mają a kogo ochraniać, ale w obec sędziów wyrokujących są zupełnie bezsilni. Sędzia wyrokuje o winie lub niewinności oskarżonego wyłącznie na podstawie własnego przekonania. Jego także jest rzeczą, które dowody uważa za prawdziwe, a które za fałszywe, którym świadkom wierzyć zechce, a którym nie wierzy...

„A sąd Rzeszy? Sąd Rzeszy może naprawiać błędy, które sędziowie popełnią przez nieświadomość lub niedopatrzenie, może obalać najsprawiedliwsze wyroki, zawierające pomyłki formalne, ale

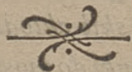
byłby bezsilny, gdyby sędziowie rozmyślnie skazali niewinnego, jeżeli potrafią ten wyrok zręcznie uzasadnić.

„Choćby sąd Rzeszy składał się z rodzonych braci i najszczerszych przyjaciół niewinnie skazanego, choćby wszyscy sędziowie byli przekonani o krzywdzie, jaka go spotkała, nie mogliby obalić wyroku uzasadnionego formalnie, bez pomyłki prawnej (ohne Rechtsirthum), po prawidłowo przeprowadzonej rozprawie.

„Nie twierdzimy, że tak się dzieje, nie odnosimy powyższych uwag bynajmniej do głośnych wyroków politycznych, ale już sama świadomość, że tak się dziać może na mocy obecnie obowiązującej procedury karnej, budzi niepokój nie tylko u nas, lecz także wśród społeczeństwa niemieckiego i wywołała agitacyą za ustanowieniem Izb apelacyjnych dla spraw, sądzonych przez Izby karne w pierwszej instancyi, a dopiero od wyroków Izb apelacyjnych miałaby iść rewizya do sądu rzeszy. Koło polskie powinno tę sprawę podjąć i wystąpić z wnioskiem, domagającym się zaprowadzenia apelacyi od wyroków Izb karnych.

„Nie wątpimy, że stronnictwa niemieckie wniosek taki poprą, a na jego uzasadnienie wolno będzie przytoczyć wszystko, co za nim przemawia, a więc także różne wyroki Izb karnych, których sąd Rzeszy obalić nie może, a które mogą nie odpowiadać przekonaniom posłów i szerokich kół ludności. Zdaje się, że tym razem nawet rząd nie będzie śmiał upierać się przy swoich żądaniach, więc trudy Koła polskiego nie będą daremne.

„Byłoby źle, gdyby Koło polskie pominęło okazyę podjęcia sprawy, tak popularnej na całej przestrzeni od Królewca aż do Mecu. *B. M.*



Głosy od przyjaciół.

Krobia.

Na cmentarzu tutejszym katolickim, przeczytałem między różnemi napisami na grobach z boleścią także na jednym nagrobku firmę pewnego przemysłowca, który pomimo nawoływań „Pracy," ażeby nie dać się germanizować, sam germanizuje starą nazwę polskiego miasteczka „Krobi," oznaczając swoją firmę „K....... Kröben". Smutne to bardzo, lecz prawdziwe. Jeśli my sami nie będziemy się poczuwać, ażeby nasze prastare piękne nazwy zachowały swą odwieczną polską nazwę, to nie możemy żądać, ażeby „nasi najserdeczniejsi" nas szanowali. Może te kilka słów spowodują p. K., iż na przyszły raz będzie się podpisywał „K. *Krobia*," a nie Kröben.

Polak.

* * *

Wolsztyn, dnia 21 kwietnia 1902.

Miasto nasze, położone na zachodnich kresach Księstwa, uważane bywa za zupełnie niemieckie, jednakowoż gdy mu się bliżej przyjrzymy nabierzemy innego zdania. Pochodzi to może także i ztąd, że mało kiedy dostają się do wiadomości szerszej publiczności korespondencye z Wolsztyna, dlatego postanowiłem sobie dzisiaj, nieco o życiu polskiem w mieście naszem napisać.

Podług ostatniego liczenia z roku 1900 posiada Wolsztyn 1735 katolików (pomiędzy tymi mała liczba Niemców-katolików) i 1626 protestantów i żydów. Przechodząc ulicami napotkać możemy często firmy polskie, a rzemiosło jest we wszystkich gałęziach dość dobrze reprezentowane. W towarzystwach, których tu mamy trzy, widać życie i rozwój. I tak od roku założone „Katolickie Towarzystwo Robotników Polskich" dobrze się rozwija. Ze sprawozdania na walnem zebraniu, dnia 6 b. m. odczytanego przez sekretarza tegoż Towarzystwa p. Miedzińskiego, dowiedzieliśmy się, iż liczy 121 członków. Na posiedzeniach, których się odbyło 12, bywało przeciętnie 86 członków, a różne odczyty rozbierające kwestye robotnicze były dyskutowane na każdem posiedzeniu. Towarzystwo posiada także kasę pogrzebową, wypłacającą w razie śmierci członka spadkobiercom 11 marek i zamierza założyć własną bibliotekę. Tak samo założone przed dwoma latami „Kółko włościańskie" pod okiem hrabiego Mycielskiego z Komorowa dość dobrze się rozwija.

Najstarszem Towarzystwem w miejscu jest „Towarzystwo Przemysłowców", założone w roku 1885. Przechodziło ono różne koleje; po pięknym rozkwicie i rozrozcie nastąpił upadek, w którym to czasie tylko wegetowało. Dopiero ręka teraźniejszego ruchliwego prezesa p. H. Rosenberga je podniosła i dodała otuchy i bodźca do dalszej pracy.

W dniu 6 stycznia urządzono wieczornicę, na której wystąpili z odczytami, miejscowy ks. proboszcz Gładysz „o oszczędności" i hrabia Czarnecki z Rakoniewic „Kobieta w stosunkach naszych," poczem bawiono się przy śpiewie i pogadance. W dniach 28 stycznia i 1 lutego dano na cel dobroczynny przedstawienie amatorskie; odegrano sztukę „Krakowiacy i Górale;" pomimo ogromnie dużych kosztów, przekazało Towarzystwo sporą sumkę na różne cele dobroczynne. Przed dwoma laty przystąpiło Towarzystwo do Związku Towarzystw Przemysłowych." Na propozycyą prezesa „Związku" p. mecenasa Czypickiego z Koźmina, urządzono w niedzielę, dnia 13 z. m. większe zebranie, na które zarząd „Związku" wydelegował prelegenta w osobie p. Żnińskiego z Poznania, który mówił „O wychowaniu w ogólności i o wychowaniu w kierunku przemysłowym," zaś obecny skarbnik Związku p. Filipowicz z Poznania poruszył kwestyę handlu. Oby się Towarzystwo w obranym kierunku dalej rozwijało, co mu z całego serca życzymy!

Z wysokim szacunkiem
Czytelnik „Pracy".

* * *

Zblewo Pr. Zach., d. 10 kwiet. 1902.

Kto zaczepia, Polacy czy Niemcy?

W ubiegłą niedzielę wyjechałem sobie z moim przyjacielem rowerem do pobliskiego Borzechowa. Tu wstąpiliśmy do lokalu p. Steinigera, aby nieco odpocząć. Zajęliśmy miejsca opodal od stołu, obsiadłego czterema Niemcami wraz z gospodarzem i rozmawialiśmy swobodnie o sprawach obojętnych a rozmawialiśmy po polsku. Polskie dzwięki naszej rozmowy drażniły Niemców a zwłaszcza jednego z nich, który z butą iście krzyżacką powstał i zwracając się do nas zawyrokował: „Im deutschen Reiche wird nur deutsch gesprochen, vielmehr in diesem deutschen Lokale" t. j. w państwie niemieckim rozmawia się tylko po niemiecku a zwłaszcza w tym lokalu niemieckim!

Oniemieliśmy wobec takiej bezczelności, lecz tylko na chwilkę gdyż wnet rzekłem do towarzysza: „Zapłaćmy i opuszczajmy nieprzyzwoity lokal!" Tego było krzyżakowi zanadto. „Was, Sie sprechen noch polnisch?" zawołał z oburzeniem i przyskoczywszy do mnie *schwycił mnie za piersi i zepchnął mnie z krzesełka*. Po tej brutalnej napaści, opuściliśmy czemprędzej „przyzwoitych Niemców". Panowie ministrowie starają się o wycinki z gazet polskich, więc spodziewamy się, że i niniejszy opis przyczyni się do uzupełnienia ich zbioru, a p. Bülow się przekona, że jeszcze nie dosyć trywialnie się wyraził mówiąc o „polskim dziobie", gdyż jego urzędnicy nie mogą go zrozumieć. Może go zrozumieją, gdy *jeszcze trywialniej* się wyrażać będzie. A wy mieszkańcy Borzechowa i okolicy poznawszy hakatyzm p. Steinigera, który milcząc przytakiwał owemu krzyżakowi, chyba wiecie jak sobie z nim postąpić. Swój do swego! — Sprawa ta oddana do prokuratora. *M. A.*

* * *

Świecie, (Prusy Zachodnie.)

Szanowna Redakcyo!

Obowiązany jestem Szanownej Redakcyi donieść o Towarzystwie ludowem w Świeciu. Należę do tego Towarzystwa od założenia, na posiedzenia regularnie chodzić nie mogę, ponieważ pracuję po za domem. Na posiedzenie, które się odbyło 16-go marca r. b. poszedłem i co tam usłyszałem? Tylko narzekania zarządu, że na członków się mało osób zapisuje i że członkowie nie przychodzą na posiedzenia.

Jest to bardzo smutnem na tak wielką parafią. Na czem to polega, nie jest do pojęcia. Tylko 10 fenigów miesięcznie na utrzymanie Towarzystwa się płaci, a taki mały wydatek z pewnością każdy może ofiarować, chociaż najuboższy, skoro tylko chce.

Największy wstręt do tegoż Towarzystwa mają nasi rzemieślnicy, n. p. mamy tu przeszło 60 murarzy i 15 cieśli, a do Towarzystwa należy tylko 2 murarzy i jeden cieśla. Rzemieślnicy ci tak samo nie należą do Towarzystwa Przemysłowców, jako też do Sokołów.

Obowiązkiem jest naszym narodowym przyłączyć się do Towarzystw i regularnie uczęszczać na posiedzenia, ażeby pokazać „naszym najserdeczniejszym," że żyjemy, a nie śpimy.

Uważam, że powyższe słowa wystarczyć powinny, ażeby nasi bracia ze snu się obudzili, i jak najliczniej do Towarzystw naszych przystąpili.

Członek Tow. ludowego w Świeciu.



Dział ekonomiczny.

W sprawie handlu z Syberyą.

Od czasu budowy kolei transsybiryjskiej nawet dzika i małozaludniona Syberya wschodnia zwraca baczną uwagę europejskich eksporterów, stanowiąc rosnący ciągle rynek zbytu dla wielu artykułów jak szkło, meble, gwoździe, instrumenty muzyczne, cykorya etc. Kraj ten służy również za teren, przez który przechodzi w wielkich ilościach towar, przeznaczony dla Mandżuryi. Kulminacyjnym punktem dla handlu stał się tu Władywostok. Towar idzie ztąd do Mandżuryi albo koleją wiodącą do Chabarowska, i następnie po Amurze i Sungari, albo też wielką koleją syberyjską, (względnie stanowiącą jej przedłużenie koleją wschodnio-chińską), na której obecnie zaprowadzony został bezpośredni transport z Władywostoka do Charbinu, miejsca, gdzie schodzą się linie kolejowe Władywostok-Tchita i Port-Arthur — Mukden-Kizin.

Artykuły, importowane do Mandżuryi, są mniejwięcej te same, jakie stanowią przedmiot wąwozu do północnych Chin t. j. wszelkiego rodzaju towary manufakturne, spirytualia, cukier, świece, szkło szybowe, broń dla Europejczyków ect.

Urzędowa statystyka cudzoziemców, jacy w przeszłym roku przewinęli się przez Władywostok, wykazuje (wobec tego, iż z małymi wyjątkami byli to oczywiście kupcy), w jakim stopniu rozmaite narodowości ubiegają się tam o nawiązanie stosunków handlowych.

W liczbie tych cudzoziemców pochodziło mianowicie 201 ze Stanów Zjednoczonych, 165 z Niemiec, 104 z Anglii, 51 z Francyi, 35 z Austro-Węgier, 25 z Danii, 6 z Belgii, 4 z Hollandyi i t. d. Widzimy więc, iż Amerykanie, Niemcy i Anglicy zajmują tu pierwsze miejsce.

Stosunki handlowe Europy z Syberyą Zachodnią rozwijają się w bardziej szybszem jeszcze tempie niż z Syberyą Wschodnią. Dla stosunków tych coraz ważniejszym punktem staje się Archangielsk od czasu, jak rząd rosyjski przez budowę kolei Kezin-Kotlas (z Kotlasem Archangielsk połączony jest żeglugą parową na Dźwinie) umożliwił bezpośrednią komunikacyę między tym portem a Zachodnią Syberyą. Na widownię najbardziej wysuwają się tu w handlu Niemcy, którzy zaprowadzili regularne bezpośrednie połączenie okrętowe pomiędzy Hamburgiem a Archangielskiem. *G. H. G.*

KRONIKA.

Kapryśna wiosna tegoroczna jeszcze nie rozwinęła całej swej wspaniałości, jeszcze się niekiedy psoci szmatami śniegu i podmuchem mroźnego wiatru, a już się zdarza, że komar ukąsi. Ale nie jest to wszakże komar z gatunku tych, co chmarami oblatują człowieka i albo amoniakiem, albo też dymem odstraszyć je można — nie, to „Komar“ poznański wydawnictwa p. Słupskiego. Ktoś nieżyczliwy puścił w obieg pogłoskę, że „Komar“ poznański już nikogo nie ukłuje, bo z powodu procesu prasowego wychodzić przestanie. Z tej plotki ta odrobina jest prawdziwą, iż kwietniowy numer tegoż pisma humorystycznego zaczepiła i skonfiskowała policya, prawdopodobnie jednak redaktorowi żadnego przestępstwa dowieść nie będzie można. Ale chociażby na niego spaść miała kara z tych samych chmur, co tak gęsto zawisły nad głowami redaktorów polskich, to i wtedy rozwijające się dobrze wydawnictwo wychodziłoby bez przerwy. Że zaś „Komar“ żyje i to żyje całą werwą życia, za tem przemawia numer majowy, zawierający dużo zręcznej satyry i zdrowego humoru. Życzymy też chętnie „Komarowi“ redagowanemu w Poznaniu przy ul. Fryderykowskiej, ażeby na lato zaroił się w egzemplarzach abonowanych, bardziej niż jego nie abonowani skrzydlaci imiennicy, trapiący nas w dni skwarne. Tych zaś niechaj będzie jaknajmniej.

Również byłoby lepiej, gdyby w bieżącym roku zmniejszyła się inna plaga, trapiąca miasto nasze w coraz dokuczliwszy sposób. Jestto plaga zbieraczy składek i fantów na majówki i zabawy letnie. Są magazyny, które niekiedy więcej liczą tej zbierającej fanty klienteli niźli kupujących. Mówił mi pewien znamienitszy kupiec, że gdyby miał sprostać wszelkim wymaganiom coraz liczniejszych w mieście naszem towarzystw, musiałby za kilka set marek towarów poświęcić. Podobne głosy słychać z wielu innych stron, a wszystkie łączą się w tę niezaprzeczoną prawdę, że ta zbieranina darów ne cele zabaw jest po prostu udręczeniem.

„Zbierali dawniej, zbierali zawsze i było dobrze“, odpowie na to niejeden z tych panów, którzy na zebraniach pierwsi się kwapią z wnioskami o wybór komisyi, mającej nagromadzenie datków uskutecznić. Ale to argument dwojako niesłuszny. Raz dlatego, że co było w zwyczaju przed laty, nie koniecznie musi być wiecznie dobrem, a powtóre, że dawniej mieliśmy towarzystw urządzających zabawy letnie i bale zimowe zaledwie kilka, dziś zaś bodajnie mamy ich więcej niż trzydzieści. Każde zaś te same uraszcza sobie pretensye do szczodrobliwości ogółu — a na co? — dla zabaw.

A jeszcze gorzej ten zły zwyczaj się przedstawia w tych ogniskach towarzyskich, z których żadna myśl wyższa, istotnie pożyteczna nie wnika do duszy członków, gdzie tak pusto, tak jałowo, tak wszystko ugorem leży, że zaledwie, gdy o taneczną zabawę lub rozrywkę letnią chodzi, znać jakieś ocknienie z drzemki chronicznej.

A gdy się o tych ogniskach mówi, mimowoli narzuca się pytanie, czyśmy nie przejęli od Niemców za wiele manii stowarzyszania się, czy towarzystw nie jest za wiele na nasze siły intelektualne, a poniekąd i materyalne, czy nie powstają u nas związki towarzyskie częstokroć bezplanowo i bezcelowo, czy nie należałoby przeorganizować naszego życia towarzyskiego, skupić się bardziej i streścić w pracy zbiorowej na polu towarzystw, a mniej utworzywszy ognisk działać tym silniej i skuteczniej?

Alius.



WIOSNA.

Szło sobie dziecko, przez lasy i pola,
W koszulce tylko, wesołe, choć bose.
A był już kwiecień! W szronie stała rola
Którą mijało dziecko jasnowłose.

Słońce cieplejsze rzuciło promienie
W ślad płowej główki i koszulki zgrzebnej
I wypłoszyło ze skib chłodne cienie,
Pędząc skowronki do piosnki podniebnej.

W malutkich piąstkach trzymała dziecina
Ziarenka jakieś, te gubiąc bez końca,
Siała je w rolę co żyć rozpoczyna!
Cała skąpana w ciepłych blaskach słońca!

I szło maleństwo od wioski do wioski,
A bijąc rączką o szyby i wrota,
„Chodźcie!“ wołało. „Dość zimna i troski
Słońce na niebie, a w polu... robota!

„Czas już piosenkom przelecieć przez łany,
„A stali pługów zabłysnąć przy pracy!
„Niejeden ugor, jeszcze nie zasiany,
„Na dłonie wasze czeka wciąż, rodacy!“

A w tem skowronek wydzwonił pytanie
„Ktoś ty? i czemu kołaczesz we wrota?
„Budzi się życie na łące, na łanie,
„Gdzie tylko przejdzie twoja główka złota!“

Srebrzystym śmiechem odpowie dziecina:
„Wiesz, czemu ziemia wita mię radosna,
„Choć ledwie w słońcu sama żyć zaczyna?
„Oto dlatego... Bo ja jestem Wiosna!

Osyński.



„Halka.“

(Do illustracyi.)

Sztuka nie starzeje się nigdy — powiada starorzymskie przysłowie. I tak jest istotnie; cudownym zaś eliksirem zapewniającym jej wieczną młodość, jest talent tych, którzy jej skarbnicę co pewien czas świeżemi zasilają klejnotami. Arcydzieło, czy to malarstwa, rzeźby lub architektury, czy też poezyi lub muzyki, pozostanie arcydziełem bez względu na lata, na owe wskazówki, przesuwające się na wielkim zegarze wszechczasu. Czterdzieści cztery lata minęły od chwili, gdy w teatrze warszawskim pojawiła się poraz pierwszy „Halka“ Moniuszki. Dzieło to stworzyło nową epokę w naszej muzyce dramatycznej. Pisali dawniej: Kurpiński, Elsner i inni, ale utwory ich, jakkolwiek nie pozbawione piętna melodyi narodowej, a zwłaszcza ludowej, nie zadawalniały wymagań muzyki, która na zachodzie już w tym czasie rozwinęła szeroko skrzydła do lotu. Dopiero Moniuszko pierwszy stworzył operę polską w prawdziwem tego słowa znaczeniu.

Ponieważ „Halka“ jest i będzie zawsze chlubą i ozdobą naszej muzyki dramatycznej, więc też znajomość jej dziejów zainteresuje zapewne wszystkich tych, którym losy naszej sztuki nie są obcemi. W roku 1847 Moniuszko wystawił w warszawskim teatrze pierwszy swój utwór pod tytułem „Loterya.“ Jest to opera jednoaktowa, mająca więcej historyczną wartość niż muzyczną.

Podczas pobytu chwilowego w Warszawie znakomity kompozytor poznał się z utalentowanym poetą Włodzimierzem Wolskim. Schodzili się codziennie w cukierni i gawędzili o sprawach sztuki, literatury lub o innych wypadkach bieżących. Właśnie w tym czasie pojawiły się „Stare gawędy“ K. Wł. Wójcickiego. Moniuszko zwrócił uwagę, iż jedna z tych gawęd nadawałaby się doskonale jako treść do dramatu lub opery. Wolski



Stanisław Moniuszko.

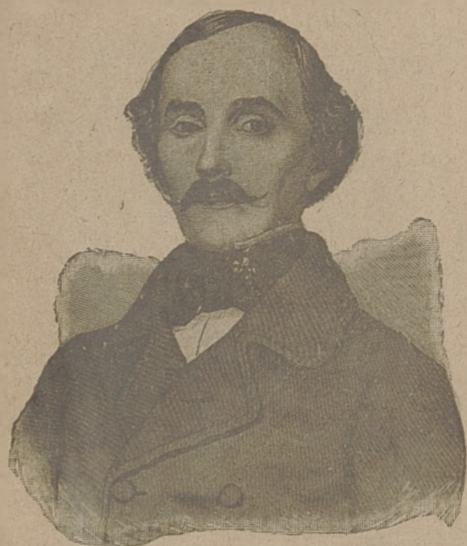
podjął się wykonać pomysł Moniuszki i bez długich zachodów napisał libretto „Halki.“ Znać w niem nawet pewien pośpiech i niedokładności. Autor nie zdawał sobie nawet sprawy, w jakiej okolicy Karpat dramat ma się rozgrywać. W pierwotnym manuskrypcie była mowa o Czeremoszu, ztąd i tańce mają charakter wschodnio-karpacki. Później przeniesiono akcyę na zachód Karpat, co zaznaczyło się bardzo wymownie w słowach: „Czekaj za miastem nad Wisłą.“ Ta niedokładność odbija się do dnia dzisiejszego w kostyumach, używanych do opery Moniuszki: plączą się tam i góralskie, i huculskie, i tatrzańskie, a nawet krakowskie. Warto, aby ktoś kompetentny zajął się tem i usunął tę rozmaitość, w tym wypadku zbyt rażącą.

O ile libretto Wolskiego jest niejednolitem, o tyle za to muzyka od początku do końca jest jednolitą, chociaż opera dwa razy z gruntu była przerabianą. A stało się to w sposób następujący: Do słów Wolskiego Moniuszko wnet dorobił muzykę i już w r. 1848-m „Halka“ była gotowa i złożona dyrekcyi teatrów warszawskich, ale wyglądała wówczas zupełnie inaczej, aniżeli obecnie. Przedewszystkiem dzieliła się na dwa akty, które i w dzisiejszej nawet formie dadzą się odróżnić. Dawny pierwszy kończył się na dzisiejszem zakończeniu drugiego, dawny drugi zaś zaczynał się od obecnego trzeciego. W tej formie wystawioną została w Wilnie w r. 1856 i zdobyła sobie wielkie powodzenie.

Różne przyczyny złożyły się na to, że w Warszawie przez lat dziesięć zwlekano z wystawieniem dzieła Moniuszki. Ostatecznie do wprowadzenia go na scenę przyczynił się ówczesny kapelmistrz Quattrini, który przejrzawszy partyturę, odrazu orzekł, iż jest to dzieło pierwszorzędnej wartości. Na jego nalegania postanowiono „Halkę“ wprowadzić na repertuar i zawiadomiono o tem Moniuszkę.

Za poradą kilku osób, Moniuszko umyślił wtedy dokonać kilka przeróbek: rozszerzył operę na cztery akty i dorzucił do niej całą garść prawdziwych klejnotów, jak pieśń Janusza „Czemuż mi w chwilach samotnych owych,“ polonez stolnika „O, mościwi mi panowie,“ mazur na zakończenie aktu I-go, pieśń Halki „Gdyby rannem słonkiem“ i duet Janusza z Jontkiem „Wszak ci mówiłem, prosiłem przecie“ w akcie II-im, wreszcie ulubioną zawsze dumkę Jontka „Szumią jodły na gór szczycie“ w akcie IV-ym. Reszta jest pozostałością dawnej „Halki.“

W takiej przeróbce arcydzieło Moniuszki pojawiło się 1-go stycznia 1858 roku, a więc 44 lata temu. Operą dy-



Julian Dobrski.



Paulina Rivoli.


500-ne przedstawienie „Halki“ w Warszawie. Scena zbiorowa.

rygował Quattrini, próby ostatnie odbyły się pod kierunkiem Moniuszki, który w pół roku później zajął także stanowisko kapelmistrza obok Quattrini'ego. „Halka“ odrazu sobie zdobyła powodzenie olbrzymie zwłaszcza u publiczności, krytyka bowiem początkowo zachowywała się bardzo chłodno wobec utworu. Nic dziwnego, była to dla niej nowość, z którą nie umiała sobie poradzić.

Do powodzenia opery przyczyniło się wyborne jej wykonanie; śpiewali wówczas: Halkę Rivoli, Jontka zaś Dobrski — para artystów, którzy stworzyli z tych dwóch ról wzory, dotychczas niedoścignione przez następców. Z pierwotnej obsady „Halki“ dziś już nikt nie pozostaje przy życiu.

Z biegiem czasu i „Halka“ rozmaite przechodziła koleje. Po ustąpieniu ze sceny Dobrskiego i Rivoli, przez pewien czas nie grano jej wcale. Później Moniuszko przerobił partyę Jontka na głos barytonowy, dla śpiewaka lwowskiego Kehlera. W tej przeróbce grano „Halkę“ przez trzy lata. Później wrócono do dawnej, właściwej formy i utrzymano ją po dzień dzisiejszy.

Wiadomo, że dzieło, napisane z wielkim talentem, nigdy się nie starzeje. Czas dla „Halki“ najlepszym jest probierzem; w roku 1866, 7-go października grano ją w Warszawie po raz setny; 23-go maja 1876 roku po raz 200 ny, 26-go czerwca 1885 roku po raz 300 ny, 28-go maja 1894 roku po raz 400 ny; wreszcie 9-go grudnia 1900 roku po raz 500.

Daty te najwymowniej dowodzą, jak wielki talent ożywia to dzieło Moniuszki. Z biegiem lat nie starzeje się ono, lecz przeciwnie, coraz większe znajduje uznanie i powodzenie. I nic dziwnego; można słuchaczów zachwycać pięknością kombinacyi muzycznych, sztuką i efektami instrumentacyi. Ale do głębi serc tylko sercem przemawiać można. Tę sztukę przemawiania do uczuć tylko wybrani posiadają. Świat daje im miano geniuszów!... *H. M.*



GORALKA.

Nie prawda? Piękna nasza przyroda!
Przybyszu, wielbij ją!
Z podnóży skalnych wytryska woda,
Na szczytach gromy drżą.

Lasy smereków obsiadły góry,
U stóp ich szereg chat;
Gdzieniegdzie zamek patrzy w lazury,
Świadek minionych lat.

W krętym wąwozie dzikich skał złomy
Długi rzucają cień,
A potok skalny, krusząc brzeg stromy
Perłami ciska weń.

Na halach owiec dzwonki wciąż jęczą,
Juhasów słychać śpiew
I szum kaskady, co barwną tęczą
Migoce pośród drzew.

A gdy noc gwiazdy złote zapali,
O, wtedy marzyć daj!
Piękne to życie naszych górali
I piękny ten nasz kraj!

Mimo to, widzę, na twojej twarzy
Zarzewie smutku tli;
O innej krasie dusza twa marzy,
O innem niebie śni.

Patrząc jak fale Dunajec toczy,
I słysząc jego szum,
Napróżno szukasz stepów przezroczy,
Stepowych tęsknych dum.

Tu widzisz inne nieba błękity,
Gromowych fale chmur,
Tu zamiast stepów, skał groźne szczyty,
Zielone szczyty gór.

Tu inna barwa róż i powoi,
Naszej przyrody dar,
I piosnki inne naszych dziewoi,
Ich oczu inny czar.

Wprawdzie twe serce dla mnie zabiło,
W mych oczach widzisz raj,
Ale wspomnienia z młodzieńczą siłą
Przeszłości tworzą kraj.

I na twem czole osiada chmura,
Wstecz się twe myśli rwą. —
Nie, synu stepów, góralska córa
Nigdy nie będzie twą.

Nie, tyś nie dla mnie, ja nie dla ciebie:
Ja kocham wichry swe,
A ty o swojem wciąż marzysz niebie.
Nie, tyś nie dla mnie, nie!

Ja przy młodzieńcu z pośród górali
Rozkosznie będę śnić;
Dla ciebie wichry wyją gdzieś w dali,
Los twój — wśród wichrów żyć.

J. Nitowski.


500-ne przedstawienie „Halki“ w Warszawie. Scena zbiorowa.

Wycieczka w Himalaje.

(Do illustracyi.)

Szczyty Himalajskie, najwyższe w świecie, odgradzają suche i zimne płaskowyżyny Tybetu, od gorących i wilgotnych równin Sudgi; południowe ich stoki, po których spadają niezliczone potoki wód, zarosłe są, na całej niemal przestrzeni, przepysznemi, dziewiczemi lasami, o których niepodokna dać pojęcia piórem. Dokoła wypełniających je olbrzymów państwa roślinnego, wiją się powoje kwitnące, liany, oraz wszelkiego rodzaju posożytne rośliny, wiążąc jedne z drugimi gierlandami z zielonych liści i różnobarwnego kwiecia. Już tam nie słychać wstrętnego wycia szakala ani ryku tygrysa, pozostałych w nizinach; słuch rozwesela śpiew ptaków i szum liści, wśród których unoszą się balsamiczne tchnienia przyrody górskiej. Ta leśna część Himalajów nie jest ludną: mieszkają tu jeno pasterze trzód, zbieracze miodu i innych płodów lasu, które znoszą na niziny. Ciągnie się tu kraina wszerz od 5 do 15 mil. Wyżej las się przerzedza, występują skały, strome spady, głębokie parowy i urwiska, wśród których warczą kryształowej czystości potoki. Okolica tu więcej uprawna; na łąkach i wygonach, usianych kamieniami, stoją domki murowane w okoleniu ogrodów, przy nich ciągną się łany zbożowe. Z każdym jednak krokiem wyżej, okolica posępnieje. Drogi pną się zygzakowato, po stromych urwiskach biegną nad bezdennemi przepaściami; po śmiało rzuconych wioskach, przeskakują to na jeden, to na drugi brzeg o bystrym nurcie potoków. Roślinność jeszcze bujna, — liany i powoje jeszcze oplatają drzewa, wśrod których snują się jelenie, sarny, igrają małpy, podlatują bażanty. Dalej na wysokości 4 do 5,000 stóp, zaczyna się roślinność strefy zimniejszej: latorośle winne, grusze, śliwy, morele, żyto, głogi, róże dzikie, jeżyny, maliny, poziomki. Ta okolica, w której szczyty najwyższe dochodzą 9,000 stóp, stanowi trzeci pas Himalajów.



P. Floryański w roli Jontka.

Dopiero przejście średniego pasma gór, którego krajobraz urozmaicają jeziora, potoki, wodospady odkrywa śnieżne pasmo właściwych Himalajów. Widok tych olbrzymów, wystrzelających na 18,000 stóp w górę, nierównie wystarcza na oddanie ich groźnego majestatu... Na obsarze 30 mil widzisz zupełny obraz śmierci: lodowce piętrzą się na lodowcach, pustynie śnieżne na pustyniach śnieżnych, a z pośród nich wyskakują olbrzymie masy, jakby duchy nieziemskie, w srebrzystych szatach, z głowami w niebo wrosłemi. Tych szczytów nie znieważyła stopa ludzka. Nawet mnogie przejścia przez Himalaje leżą wyżej od najwyższych szczytów europejskich; do nich dostać się można po najwyższych wysiłkach, wobec których wędrówki po Alpach są dziecinną igraszką. Na wysokości 23,000 stóp, z pod potężnego lodowca, wypada bystry potok: to początek Gangesu. Dokoła roztacza się bezludna, martwa pustynia lodów. A jednak wyżej jeszcze u samych źródeł świętego Gangu, spotyka się pobożnych pielgrzymów indyjskich, którzy narażają życie, aby tylko się tu dostać. Stoi tam nawet pagoda, w której bramini udzielają pątnikowi błogosławieństwa, sami zaś mieszkają w jaskiniach.



500-ne przedstawienie „Halki w Warszawie." Błogosławieństwo.

W trzecim pasie Himalajów i wyżej nieco, dla zwolennika polowania na kozły dzikie — raj. Ma tu ich rozmaite gatunki; niektórych najwięcej nęci tak zw. Falconer lub Markoor, co w języku krajowców znaczy: „pożeracz żmij". Skąd się wzięła ta nazwa? niewiadomo bo przyrodnicy dotąd nie stwierdzili, żeby zwierzę to miało asumpt do pożerania gadów. Markoor jest jednym z najwspanialszych odmian kozła skalnego. Odznacza się bardzo gęstą brodą, z karku zaś i piersi jego spływa aż do kolan istny płaszcz z równie gęstej sierści, barwy zupełnie czarnej lub szarej; reszta sierści ma barwę jaśniejszą z czerwonawym odcieniem. Nad nozdrzami tego górskiego mieszkańca widnieje ciemna pręga, a łeb mu zdobią wspaniałe rogi, dosięgające u zupełnie rozwiniętych osobników od 1 m. do 1 m. 25 ctm. Rogi te rozwidlają się coraz u podstawy w kierunki wsteczne i wznoszą się majestatycznie do góry w energicznych skrętach, zakończają się zaś wgłębieniami, formą przypominającemi łódź. Tak wspaniałej ozdoby nie posiada żaden inny gatunek kozłów.



P. Kruszelnicka w roli Halki, góralki.

Markoor żyje małemi stadami; samice, z wyjątkiem prowodyra, trzymają się na uboczy. Lato spędzają w cieniu lasów brzozowych i jodłowych, wtedy trudno je podejść. W listopadzie

i grudniu, kiedy źródła zamarzają na wyżynach, schodzą w doliny, ku rzekom i wówczas najlepiej na nie polować. W tym też okresie parzą się, przyczem samce staczają zaciekłe walki, zapominając o zwykłej ostrożności. Miejscowości otwartych unikają, chociaż i tam je spotkać można. Unikają też spotkania z pobratymcami, gdy zaś to nastąpi, wywiązuje się zawsze walka. Stroną zaczepną zawsze jest Markoor. Wspina się wtedy na tylne kopyta, uderza łbem w przeciwnika z taką zajadłością, że często wspaniałe rogi szwank dotkliwy ponoszą.



Kozioł Markoor (Calva megaceros).

Jak wszystkie zresztą kozły skalne, Markoor odznacza się zadziwiającą zręcznością. Ze swobodą nie do uwierzenia pędzi błyskawicznie szybko po niedostępnych przesmykach, nad przepaściami, odważa się na szalone skoki. Racice ich odznaczają się osobliwą budową: twarde jak stal, pod spodem chropawe, mogą się dowolnie rozszerzać w biegu po gładkiej i ślizgiej powierzchni. Za pomocą takich racic są w stanie czepiać się po lodowcach, po pionowych skałach, i na przeciwległej ich stronie, zsuwać się na dół z kilometrowej wysokości.

Żadne łowy nie wzbudzają takiej namiętności, jak na kozły skalne, mimo że są połączone z wielkiem niebezpieczeństwem, ponieważ odbywają się na najmniej dostępnych, otoczonych przepaściami wyżynach, będących właściwem mieszkaniem tego zwierzęcia, niezbyt czułego na zmiany pogody. Tselnidi opowiada, że widział stare kozły, stojące nieruchomie jak posągi, na szczytach skał całemi godzinami, z podniesionemi nozdrzami, wśród śnieżnej zamieci. Tenże przyrodnik mówi o Markorach:

Żyją one towarzysko w stadach od 5 do 15 sztuk, lecz stare kozły oddzielają się od stada i pędzą życie samotnie. Niebezpieczeństwom stawiają czoło wspólnemi siłami. W nocy zachodzą do lasów na żerowisko, lecz rzadko się zapuszczają w okolice niżej położone. Czasem nocują w skalnych pieczarach. Przed wschodem słońca uchodzą wyżej i zalegają o południu na najwyższych z ciepłą wystawą szczytach, gdzie w spokoju przeżuwają. Ku wieczorowi wstępują znów ku strefie leśnej. Z rana widzieć je można najczęściej około 6-ej, po południu około 4-ej.

Według spostrzerzeń myśliwych, stare kozły są dość leniwe, leżą bowiem lub stoją całemi dniami na jednem miejscu zwykle na cyplu skalistym, zabezpieczającym im odwrót, skąd mogą się rozglądać na wszystkie strony. Kozy z koźlętami kryją się zwykle głębiej w górach. Nadewszystko lubią zioła górskie, nie gardzą jednak młodemi pędami brzóz, wierzb, malin, róż dzikich i chętnie liżą wykwity solne po skałach,

Markoori łączą się łatwo z domowemi kozami i wydają liczne potomstwo. Onstalet przypuszcza, że z takiego skrzyżowania powstały gatunki kozłów indyjskich, między innemi słynne kozy kaszmirskie i tybetańskie. Przypuszczenie prawdopodobne, gdyż forma rogów tych kozłów zupełnie przypomina rogi Markoora, chociaż rozmiarami im nie dorównywa.



Koza Markoor (Calva megaceros).

L. N.



Do Ojczyzny.

O moja droga Ojczyzno!
Bije w ciebie strzał za strzałem,
Ale się wszystkie prześlizną,
Jak po duchu, twojem ciałem.

Niechaj tylko nieśmiertelny,
W swojej ku złemu ohydzie,
Ofiarą miłości dzielny,
Duch twój w twoje ciało wnijdzie!

Nie błądź pomiędzy ludami,
Jak upior, ach! nie błądź dalej;
Niech między ludów gwiazdami
Już i twoja się zapali.

W epoce nowej, co dnieje,
Niech na swojem stanowisku
Dla ludzkości zajaśnieje;
Ludzkość czeka tego błysku.

Są serca w tęsknej żałobie,
Są oczy we łzach cierpienia,
Co się zwracają ku tobie,
Jak ku chorągwi zbawienia.

Nie jedno ku tobie ramię,
Prośba ku tobie nie jedna:
Podnieś w górę twoje znamię
To znamię szczęście nam zjedna!

W głosie ludów boże głosy,
Serca ich czują gdzie bolą!
Twój los rozstrzyga ich losy
Twoja dola jest ich dolą!

Nie myli się wzrok ich wnętrza,
Z Niebios tobie jest podana,
Twoja chorągiew najświętsza,
I przy niej tylko wygrana.

Nie dla przeszłych wielkich czynów,
Co już poszły wieków drogą,
Nie dla mocy twoich synów,
Którą większe złamać mogą.

Nie dla twoich praw dziedzicznych
Do pradziadów ziemi nagiej,
Nie dla względów politycznych
Równowagi lub przewagi;

Jesteś ty sztandarem owym,
Co wszystkie bogu ukorzy,
Lecz że jesteś *Chrystusowym*
I stoisz na woli bożej,

Jak twoja sprawa jest sprawą
Chrystusowego dziś dzieła,
I Chrystusa rana krwawą
Na twoim duchu spoczęła.

Twój krzyż czysty, narodowy
W krzyżu światów się korzeni,
I w ofierze swej wiekowej,
Tenże sam owoc rozpleni.

Tyś pierwsza wezwana ożyć
Miłością z bożego rodu,
I pierwsza w sobie utworzyć
Braterskie koło narodu.

Ty się pierwsza masz oczyścić
Z niskości, z przeszłości brudów,
Pierwsza masz tę przyszłość ziścić,
Którą bóg chowa dla ludów.

Tobie najwyższe wyroki
Dały prawdę, choć nie nową,
Lecz słowo nowej epoki,
Mnogim wiekom boże słowo.

Ty masz wyższy zakon boski
Odkryć przed świata obliczem,

Nie przez martwe pisma głoski,
Ale życiem ofiarniczem.

Ty masz ogniwem widomem
Błysnąć śród tego łańcucha,
Co z wiecznym globu ogromem
Łączy wyższe światy ducha.

Byś pierwsza była najszczerszą
Dla ziemi prawd bożych księgą,
By ją Bóg przez ciebie pierwszą
Obdarzał życia potęgą!

Aby nurtem twego łoża
Szły przez wieki jako rzeka;
Boża wola, łaska boża,
Wolność i szczęście człowieka.

Ten skarb nieba ludy czują,
Ztąd serdeczne ich spojrzenia,
Wciąż ku tobie się kierują,
Jak ku chorągwi wskrzeszenia.

Jak ku gwiaździe, co ich statki
Zaprowadza do ostoi,
Jak ku słowu tej zagadki,
Co dziś ludzkość niepokoi.

O dlatego sercem całem
I duszą modlę się całą!
Słowo polskie stań się ciałem!
Duchu polski wejdź w twe ciało!

Seweryn Goszczyński.



Organista.

(Wspomnienie z wojny francusko-pruskiej).

Zaledwie stary organista Rychter podniósł się od kolacyi, gdy do drzwi jego domku, na przedmieściu miasta M*, zastukano z taką siłą, iż szyby w oknach zadrżały.

Któżby się mógł dobijać o tak spóźnionej porze?... Było już po ósmej, a od dwóch tygodni, to jest od czasu, jak miasto M* zostało zajęte przez Prusaków, ulice w dzień nawet były puste zupełnie...

Mieszkańcy, przygnębieni nieszczęściem, które Alzacyę w moc niemiecką oddało, nie chcieli pokazywać się światu i wychodzili z domów wtedy tylko, gdy ich ostateczna konieczność przymuszała do tego.

Szturmowanie o tak późnej godzinie było oznaką jakiegoś nadzwyczajnego wypadku.

Stary Rychter, nie spiesząc się, położył na stół fajeczkę — przeciągnął się, by rozprostować zesztywniałe członki i zwolna ku drzwiom podążył.

— Ba — to ty, Krystyanie — zawołał, poznawszy w niezwykłym gościu stróża parafialnego kościoła. — Co za licho przypędziło cię tu o tej godzinie?...

— Ach, panie Rychter, przebacz, że cię niepokoję, ale proboszcz mi kazał...

— Czyż mu się przytrafiło jakie nieszczęście? — zagadnął trwożliwie Rychter.

— Nie sądzę, kochany panie — odpowiedział stróż, — ale chce widzieć się z panem i to koniecznie dziś zaraz...

I biedny stróż, wypowiedziawszy te słowa, westchnął głęboko.

— Czyś zwaryował, Krystyanie, czy żartujesz sobie ze mnie?... Ksiądz proboszcz chce mnie widzieć dziś, teraz o tej godzinie?...

— Tak.

— Chcesz chyba powiedzieć: jutro.

— Nie, p. Rychter, kazano mi dziś, zaraz sprowadzić pana na probostwo.

— Boże, cóż tam zajść takiego mogło — wyszeptał organista, i kazał wejść stróżowi do przedpokoju i poczekać chwilkę, tyle tylko, ile potrzeba na zabranie czapki i laski.

* * *

Rychter i stróż szybkiemi krokami pospieszali przez miasto, pogrążone w ciszy głębokiej. Oprócz kilku oficerów niemieckich, wychodzących w tej chwili z bawaryi i pobrzękujących ciężkiemi szablami, nigdzie, ani żywej duszy na ulicy!

Stróż kościelny otworzył drzwi, prowadzące do mieszkania proboszcza i wprowadził Rychtera.

Ksiądz Szlegel widocznie czekał na przybyłego. Był to sympatyczny staruszek, o włosach gęstych śnieżystej białości, o spojrzeniu poczciwem, szczerem. Na piersiach miał czerwoną wstążeczkę, godło pięćdziesięcioletniej dla dobra bliźnich podejmowanej pracy. Już z górą lat piętnaście był zacny ksiądz Szlegel proboszczem w M* i nie było w całej parafii ani jednego biedaka, który by mógł powiedzieć, że nie doświadczył w ten lub ów sposób dobrodziejstwa od swego pasterza.

Dzisiejszego wieczoru ksiądz Szlegel był jakoś niezwykle blady.

— A to wy, mój dobry Rychterze, odezwał się do wchodzącego organisty, który otworzył szeroko oczy — aby zobaczyć jak najlepiej, co za szczególna niespodzianka była dlań przygotowaną. — Wejdźcie i zamknijcie za sobą drzwi.

Rychter wypełnił ściśle polecenie proboszcza.

— Potrzeba mi było koniecznie zobaczyć się z tobą, mój przyjacielu — zaczął ksiądz, nie mogąc opanować silnego wzruszenia — żeby ci coś powiedzieć.

Potem uścisnąwszy silnie ręce organisty, bystro spojrzał mu w oczy i rzekł:

— Myśmy bardzo, bardzo nieszczęśliwi, Rychterze.

Rychter stał jak skamieniały.

— Weźno mój bracie i przeczytaj — mówił ksiądz dalej, podając Rychterowi małą ćwiartkę białego papieru. — Oto co mi tu przyniósł żołdak pruski z fortecy...

Rychter wziął papier i przeczytał:

„Z rozkazu gubernatora miasta M*, poleca się p. Szlegelowi, proboszczowi kościoła katolickiego miasta M*, odprawić w nadchodzącą niedzielę, w południe, uroczyste nabożeństwo, na uczczenie zwycięztwa odniesionego nad Francuzami i przyłączenia do Niemiec Alzacyi i Lotaryngii. Władze cywilne i wojskowe miasta M* będą zaproszone urzędownie.“

Organista upadł na krzesło i nie był w stanie jednego słowa przemówić.

— Co za hańba, co za straszna hańba! — wyjęknął proboszcz.

— A to miła rzecz!... — zawołał Rychter, przyszedłszy nakoniec do siebie. Cóż wy, księże proboszczu na to?

Ksiądz pomyślał chwilę i rzekł, krótko spokojnie:

— Poddać się.

Rychter zerwał się, wyprostował się jak długi i zaciśnięte konwulsyjnie pięści podniósł do góry.

— Tak, trzeba się poddać — ciągnął proboszcz — oni są tu panami. Jeżeliby szło łylko o mnie, nie byłoby o czem mówić. Starzec siedmdziesięcioletni, to zakładnik wcale nieponętny. W moim wieku na nic się już nie liczy. Ale nie o mnie tu idzie bynajmniej. Chodzi o miasto całe, które w mocy ich zostaje, idzie o braci naszych, o naszych współobywateli, których rodzin i interesów myśmy bronić obowiązani. Odprawimy nabożeństwo i dlatego, aby ci o tem powiedzieć, wezwałem cię tu, mój kochany Rychterze.

— Nie żądajcie, księże proboszczu tego odemnie, ja tego spełnić nie potrafię.

— Rychterze — odezwał się ksiądz, mówiłem tak samo, gdym ten straszny rozkaz odebrał, a jednak zmieniłem zdanie. Mówi to do ciebie nie człowiek zwyczajny, nie Francuz, lecz pasterz. Pasterz ma obowiązek troskać się o dusze swojej owczarni, pasterz musi unikać rozlewu krwi, musi pożądać pokoju i zgody. Odmowa moja mogłaby wiele złego narobić i dlatego liczę na pomoc twoją, panie Rychter.

— Dobrze, niech tak będzie, jak sobie życzycie. Jakąż mszę odśpiewać mam w niedzielę?

— Jak najkrótszą — odpowiedział ksiądz.

— No, więc możecie być spokojni, księże proboszczu — odrzekł organista i pospiesznie wyszedł z probostwa. Ksiądz ukląkł do modlitwy. Ktoby wśród ciemności nocnych mógł był dojrzeć twarz biednego Rychtera, byłby też dostrzegł dwie grube łzy, jakie po policzkach jego spłynęły.

Nadeszła niedziela. Około południa do kościoła w M* zaczęły ściągać oddziały wojsk niemieckich przerozmaitych broni. Z mieszkańców ani jeden się nie stawił. Po mieście, gdzie okiem rzucić, snuły się niebieskie mundury ze złotemi guzikami, kaski z orłami i pikielhauby.

Obok wielkiego ołtarza przygotowano wspaniałe siedzenie. Było to miejsce dla dowódcy wojsk niemieckich.

Ksiądz Szlegel wyszedł otoczony duchowieństwem. Przybrany był w ornat ciemnej barwy. Twarz jego białą była, jak jego włosy. Nie widział nikogo; załzawione oczy wlepiał w Chrystusa Ukrzyżowanego — zawieszonego u ołtarza.

Co do Rychtera, ten od chwili pamiętnego rozstania się z proboszczem zniknął zupełnie. Zamknął się w domu, zaprzestał udzielać lekcyi i nie przyjmował nikogo. W smutną ową niedzielę ubrał się czarno zupełnie i zaułkami przedostał się do kościoła. Tu zamiast dyrygować chórem, jak to czynił zwykle,

odprawił wszystkich, oświadczywszy, że sam będzie grać na organach, i w milczeniu poszedł ku kamiennym schodom, prowadzącym do chóru.

Na kościelnym zegarze wybiła godzina 12 ta, a w tej samej chwili pośród silnej orkiestry wojskowej, wszedł do świątyni dowódca pruski. Organy ozwały się w jakąś smutną melodyą i nabożeństwo się rozpoczęło. Na znak dany przez dowódcę, ksiądz Szlegel cichym, zaledwie dosłyszanym głosem zaczął śpiewać okolicznościową modlitwę, a Rychter rozpoczął akompaniament na organach.

Rychter, biedny Rychter, drżący jak w febrze, uderzał po klawiszach zesztywniałemi palcami, ale nie szło mu zupełnie. Naraz myśl jakaś, jak błyskawica przeleciała mu przed oczami. Gwałtownym rzutem głowy, odrzucił na bok spadłe na czoło włosy, oczy prawie zamarłe zaświeciły siłą jakąś niezwykłą, cała figura nabrała giętkości jakiejś, a palce przed chwilą sztywne, odzyskały dawną sprężystość.

Z organu wyszedł dźwięk, podobny do dźwięku trąb miedzianych — rozległ się po świątyni mocą jakąś majestatyczną. Wszystkie szyby w oknach zadrżały.

Ksiądz Szlegel powstał wraz z całym klerem i zaczął czytać modlitwę.

Co do niemieckiego audytoryum — rozglądało się ono po sobie, jakby dziwiąc się czemuś. To zdziwienie wzrastało ciągle i przybrało wyraz przestrachu. Temu wrażeniu uległ i dowódca pruski — podniósł się więc i tak szybko wyszedł z kościoła, jakby go mara jaka ścigała.

Rychter grał na organach — Marsyliankę!...

* * *

Wieczorem tego samego dnia organista opuścił miasto i nie pokazał się już więcej.
Leon R.



Widzenie.

Legenda wielkopolska.

(Przedruk wzbroniony).

W duchów godzinie — gdy zmarli wstają
I sprawom naszym się przyglądają,
Rybak z Powidza ze snu się budzi, —
Z trumienki wstaje pomiędzy ludzi, —
Jasnym promieniem księżyca schodzi
Nad brzeg jeziora, do swojej łodzi. —
Do swej chałupy, dobytku, roli,
Marząc o dawno minionej doli, —
O zgasłem życiu w rodzinnem gronie,
Jakie tu przebył na swym zagonie
W uczciwej pracy — wieśniaczym znoju
Zanim nie zasnął w wiecznym spokoju. —
Ale nie zastał już swojej chaty,
Jaką zostawił tutaj przed laty, —
Jezioro tylko po srebrnej fali
Wspomnienia pieśnią szumi z oddali!

A duch się pyta tej śpiewnej wody
O los i dzieje swojej zagrody, —
Co w ojcowiźnie dawnej się stało?
I gdzie się gniazdo jego podziało?....
Bo wstał ztęskniony w duchów godzinie,
By błogosławić swojej rodzinie.

Ze srebrnej wody rusałka wstała, —
Szumem jeziora mu zaśpiewała,
Że darmo błądzi po tej ustroni, —
Że darmo sercem synaczka goni,
Bo kosztem kraju on wychowany,
Wyszedł naludzi, — między mieszczany; —
Per fas czy nefas — (któż wiedzieć może),
Dobił się chleba już o tej porze
I zdobny w „zasług“ chlubne wawrzyny,
Znów kosztem kraju wychował syny; —
A co tam dalej z nimi się stało,
Dotąd tu jeszcze — zbyt wiedzą mało...

Djabeł podsłuchał; — pełen humoru
Rozśmiał się głośno echami boru, —
Puszczykiem wzleciał na dach kościoła
I pod dzwonnicą ukryty — woła:
„Hej! — jazda stary — bo wnet zadnieje!
„Suń do Poznania! — nim kur zapieje,
„A znajdziesz w twojej rodziny domu,
„Ulgę pociechy — lub widmo sromu! —
„Boć nie wiem, co tam pod sercem dusisz
„I po co za nim — upiorem kusisz!.....
„Gdy się synowi w mieście przedstawisz
„Toć wnukom także pobłogosławisz, —
„A w jasnem świetle naszej kultury
„Ocenisz wartość — rasowej skóry,
„W jaką się wszyła polska rodzina
„Zdobiąc szlachectwem — chłopskiego syna!...
„Jak się tam zresztą sprawisz w Poznaniu,
„To już zostawiam twemu uznaniu,
„Lecz zdasz mi sprawę, kumeczku miły,
„Gdy wrócisz rankiem do swej mogiły;
„Bo mnie ta „szlachta“ wielce obchodzi,
„Ten syn twój stary i jego młodzi; —
„Po trochum umiał starym kierować
„Więc młodych mógłbym „zaadoptować“;
„A jeśli duszę im cofniesz swoją
„Toć ja ich wezmę w opiekę moją! —
„Ergo, więc jazda! bo wnet zadnieje,
„A wracać trzeba — nim kur zapieje!...
. . . .

W gwarnym Poznaniu, o tej godzinie,
W której duch ojca ztęskniony płynie,
Wielmożny szlachcic, po dziennym znoju
Wśród nocnej ciszy, zasnął w spokoju,
A zapomniawszy rodzinnej chaty
Nowo nabyte śni antenaty!....
Cisza i spokój nocny dokoła,
Troska mu jednak nie schodzi z czoła;
Księżyc przez okno zagląda blady —
Promieniem zchodzi, a za nim w ślady
Snują się we śnie umarłych cienie
I zmorą wstaje ojca widzenie!....
Zajrzał mu w serce ten duch ojcowy, —
Ze wzgardą rzucił nań wzrok surowy,
Zrozumiał wszystkie rodzinne sprawy, —
Szatana pychy i trąd niesławy!....
Zapłakał z cicha — a łzy kamieniem
Na syna spadły wraz z potępieniem,
Tłoczą mu piersi — i rwą sumienie
Budząc „upiora-ojca“ widzenie!....
I słyszy we śnie jak pod niebiosy
Jękiem unoszą się skargi głosy —
Że z tej macierzy — z chłopskiej rodziny
Która jest jądrem Piastów krainy, —
Wobec Ojczyzny jasnego cienia
Zaprzańcy zrzekły się jej imienia!...
A że on, „ojciec“ przekląć nie może,
Toć zdał ich tylko na sądy Boże!...
A sąd to będzie kiedyś straszliwy,
Bo Bóg na niebie jest sprawiedliwy —
A gdy tę dziatwę już Jemu zdał,
Modlić się za nią, — nie będzie śmiał!...
Zbudził się szlachcic — serce zadrżało, —
Włos mu się jeży — bada nieśmiało
Żali to iście widzenie było?
Alboli tylko się coś przyśniło!...
Może to gazet głupie morały
Tak go z wieczora zdenerwowały, —
Boć któżby wierzył w senne androny!...
I zasnął znowu uspokojony.
. . . .

A stary dziaduś z blaskiem jutrzenki
Do swojej białej wrócił trumienki; —
Słoneczko wstaje z za czarnej chmury
W wieśniaczych chatach zapiały „kury
Dziadek kościelny na jutrznią dzwoni,
Puszczyk się nocny pod strzechę chron
Z podełba patrzy i huczy zcicha:
„Darmo tam w trumnie dziadunio wzdy[cha]
„Ja go zastąpię pomiędzy niemi
„I ukołyszę snami złotemi....
„Dam im karyery, — szlachectwo da[m]
„I do piekielnych sprowadzę bram!...
„A gdy tam który z kolei zgaśnie,
„Niech „*meinetwegen*“ go piorun trza[śnie!]
„Boć ukołysan mojemi snami —
„*Auf meine Ehre*“! — on wieczni[e z nami, —]
„Hu — huu! — huuu! — hu — huu! —
[i w piekle, — nasz!!...]

Mefisto von Kreuterwitz.



Złote myśli.

Nie dbaj na słowa ludzkie, bo on[e] przecinają powietrze, lecz skał nie wzr[u]szają. Choćby kto przeciw tobie mów[ił] najgorsze rzeczy, cóżby ci to zaszk[o]dziło, gdy o nie nie dbasz? Czyliż mowy złośliwe choć jeden włos z głow[y] wyrwać ci mogą?

Tomasz a Kempis.

Dział Kobiecy.



Listy kobiece.

Kochana Antosiu!

Ogromnie zjadliwą wytoczono wojnę karciarstwu! I słusznie. Bo oto istotą tego nałogu, tej namiętności jest próżność, to rodzone dzieciątko pychy. Przyjeżdza sobie panicz bogaty z tysiącem, paru tysiącami marek wyciśniętych z tej gleby, w którą jak najmniej wkłada, by tylko módz wydobyć jaknajwięcej, przyjeżdza do Poznania, żeby „łykom“ zaimponować. Patrzcie! ile mam na stracenie, podziwiajcie jakim bogaty, jak wielki. A jak u mnie wydelikacone puczucie honoru!

Oto płacę natychmiast, bez zwłoki. Wprawdzie stosunkowo nie wiele miałem do płacenia, bo tylko marnych kilkaset, ale to w samej rzeczy jest ta sama cnota, którą okazał hr. Józef Potocki. Co to za słowność, jaka pańskość, elegancya, płacić milion i sto osiemdziesiąt tysięcy koron w dwa dni po przegranej! Nie, tego ideału nie doścignę nigdy. Ale bo też to ideał! A te są zawsze niedoścignione.

Powiem Ci, moja droga, że aureola chwały hrabiego Józefa ma dla mnie znaczenie sztucznego oświetlania — kałuży. — W kałuży się tarzacie, moi panowie, chybiąc w sferze nocnych zabaw na mienie mężów i dzieci rodaków waszych. Atmosfera waszych dążeń jest cuchnącą a zarażującą bliższe i dalsze zdrowe dotychczas pierwiastki naszego zacnego zresztą społeczeństwa. Jedynym środkiem ratunku tak samo jak wobec trędowatych jest trzymanie się zdala od tych zakażonych istot. — Nieczyści! Nieczyści!

Aldona.



Z ruchu kobiet.

Na widowni coraz cięższej walki o byt i chleb występuje dziś kobieta jako bojowniczka coraz lepiej przygotowana i coraz śmielej zapuszczająca się do zdobywania stanowisk zajmowanych do niedawna wyłącznie przez mężczyzn. W tym względzie kronika statystyczna dostarcza dużo cyfr ciekawych, świadczących wymownie o tem, że w szybkiem przeobrażaniu się stosunków ekonomicznych i społecznych lekceważona niegdyś praca kobieca, stawa się czynnikiem bardzo poważnym. Ze statystyki odnośnej na szczególną uwagę zasługuje przyrost liczebny kobiet zatrudnianych w urzędach poczt i telegrafów. W r. 1897 pomiędzy 74,065 urzędnikami tejże dykasteryi było 2,997 czyli 4%, w r. 1898 wśród 76,025 już 4665 czyli 6,1%, w r. 1899 z 76,825przypadała na kobiety liczba 6105 czyli 7,9% a w ostatnim r. obliczeń, 1900 pośród 79, 875 urzędnikami pocztowymi i telegraficznymi naliczono 7671 kobiet czyli 9,6%. Czynności kobiet urzędujących należą do kategoryi średniej, podrzędne i wyższe funkcye dotychczas powierzane bywają wyłącznie personelowi męzkiemu.

Niemniej uwagi godnemi są objawy usamodzielniania się kobiet na innych polach pracy, szczególnie zaś w zakresie handlu i przemysłu. I tak w Berlinie grono kobiet, zaliczających się do t. zw. sfer lepszego towarzystwa, założyło sobie wielki magazyn artykułów tkackich łużyckiego wyrobu, od najpyszniejszych adamaszków począwszy, aż do najpośledniejszych płócien na ścierki, a za tym przykładem cały szereg innych przedsiębiorstw handlowych kobiecych jest w planie. Dla należytego przygotowania istnieje od pewnego czasu w Poczdamie wielki instytut dla kobiet, w którym mnóstwo dziewczyn nabiera biegłości w rozmaitych gałęziach przemysłu i kobiecego, gospodarstwa domowego kucharstwa, przysposabiając się tym sposobem do przyszłej samodzielnej pracy, która nie tylko w Berlinie, ale w innych także miastach niemieckich występuje na jaw w konkurencyjnej walce.

Najbardziej zaś interesującem zjawiskiem nowszej ery jest kobieta pracująca na stanowiskach, do których zajęcia potrzeba ściślejszej nauki i uniwersyteckiego wykształcenia.

Warto się przyjrzeć odnoszącym się do tego przedmiotu zapiskom ostatnich czasów, choć wcale a wcale nie kompletnym. I tak: pozycyą lekarza asystenta w szpitalu dziecięcym w Freiburgu, w Badenii zajęła dr. med. panna Gleis; panna dr. phil. Matylda Goldtlof mianowana asystentką w lwowskim botaniczno-rolniczym instytucie doświadczalnym; panna Walerya Kurtucz uzyskała jako płatna demonstratorka stanowisko w instytucie psychologicznym wszechnicy budapeszteńskiej; do rady zarządu królewskiego wielkiego szpitala w Glasgowie (w Szkocyi), obok dwóch mężczyzn wybrano dwie kobiety, uznawszy pomoc kobiet w administracyi za nieodzowną; na stanowisko szefa-lekarza instytutu dla sierot w Brukseli powołano panią dr. Delcourt, która godność doktorską uzyskała z najwyższą pochwałą „summa cum laude“, a na konkursie wszystkich wszechnic belgijskich zdobyła wielki złoty medal za prace swe z dziedziny chirurgii; przy uniwersytecie w Pawii (we Włoszech) panna dr. Rina Monti, objęła asystenturę u profesora Magii i wykłada z katedry, jako docentka, anatomią porównawczą i psychologią systemu nerwowego; astronomkę pannę dr. Klempke, zajętą dotąd w obserwatoryum paryskiem, powołano na stanowisko dyrektora amerykańskiego obserwatoryum w Storfieldzie. W Ameryce północnej mnóstwo kobiet zajęło poważne stanowisko naukowe i tak: miss Bradford Thomson, autorkę znakomitego dzieła o psychologii eksperymentalnej, powołano jako docentkę tejże wiedzy do Hobyse College w Massachusetts; miss Rozalię Loew, znamienitą jurystkę, powołano na kierowniczkę spraw nowojorskiego towarzystwa ochrony prawnej. Nawet w zakres architektury zapuszcza się kobieta w zdobywczym pochodzie, gdyż oto miss Julia Morgan z San Francisco zdawszy pomyślnie egzamin wstępny jako studentka paryskiej akademii sztuk pięknych, studyuje z zapałem architekturę.

K.



PIJACZKA.

Powieść w II częściach.

Z francuzkiego przetłomaczona dla „Pracy“ przez Laurę Zejdowską.

18) (Ciąg dalszy.)

— Wybacz mi! Wybacz!

— Czy ty wiesz, jakie było moje życie zdala od moich dzieci? Co ja przeszłam tam w więzieniu obok tych wydziedziczonych ze świata!

— Wybacz mi... wybacz!

— Nie, nigdy tego, co zaszło naprawić już nie można. Patrz na twoje dzieło. Zrobiłeś ze mnie istotę godną pogardy wszystkich matek!

— Zabiłeś mego męża, bo umysł jego nie przetrzymał tak strasznej rozpaczy. Przez ciebie córki moje są teraz nieszczęśliwe!

— Mamo... mamo, patrz na Gustawa... widzisz, jak i on cierpi... mamo, on mnie kocha i ja jego nad życie. Przebacz jego ojcu, miej nad nim litość, on niewinny!

— Tak, ona nie może przebaczyć... przynajmniej żyjącemu... Gustawie, dziecko moje... byłem zły, występny, ale ty musisz mi wybaczyć, bo ja ciebie zawsze bardzo kochałem.

Doktór ukląkł u nóg syna, pochylił się i zanim kto mógł przeszkodzić, wyjął mały sztylet i po rękojeść zagłębił go w swojem gardle.

Strumień krwi splamił jego ubranie, starzec padł, ugodzony śmiertelnie. Gustaw i wszyscy obecni rzucili się na ratunek. Konający wzrok nieszczęśliwego błagał przebaczenia i litości.

— Ojcze... ja ciebie ocalę!

— Nie... już zapóźno... czy mi przebaczasz?

— Ojcze mój... kocham cię i przebaczam.

— A ona... ona...

Karolina przejęta zgrozą milczała... wtedy Klara i Luiza ujęły ją za ramiona i prowadziły do umierającego ze słowy.

— Mamo... pamiętasz modlitwę, której nas nauczyłaś... „przebacz tym, co nam źle czynią.“

Karolina wzruszoną była prośbą dzieci i rozpaczą Gustawa, oczy jej napełniły się łzami, wyciągnęła rękę nad głową umierającego i powiedziała z mocą: „Przebaczam mu.“

Marignan opadł w ramiona syna z westchnieniem ulgi, oczy jego zapałały nadziemską radością, spokój napełnił jego udręczoną duszę... skonał! Wszyscy uklękli i mówić zaczęli modlitwę za konających, wśród ciszy słychać tylko było płacz syna nad ciałem ojca!

ROZDZIAŁ VI.

Zwycięztwo miłości.

Od dnia śmierci doktora Marignan minęło dni ośm, pisma już się zaprzestały zajmować sprawą Pijaczki, wiadomem było ogólnie, chociaż sąd starał się tego bardzo nie rozpowszechniać, że doktór zbyt późno poznał swoją omyłkę i z rozpaczy pozbawił się życia. Karolinie wystarczyła ta rehabilitacya, w domu Jana zapanował spokój i szczęście, zaćmione jednakże smutkiem Gustawa, który dotąd po strasznem wyznaniu i śmierci ojca nie śmiał pokazać się w domu ukochanej. Karolina i Klara pojechały do niego do miasta, gdzie go zastały w gabinecie zmarłego ojca przeglądającego papiery familijne. Klara zbliżyła się do niego z wyciągniętą ręką do uścisku.

— Jesteś nieszczęśliwy... dlaczego o nas zapomniałeś? Czy kochasz mnie jak dawniej, Gustawie?

— Kocham cię, jak szalony!

— Zapomniałeś już o mojej przeszłości?

— Zapomniałem... ty wcale nie zawiniłaś Klaro, wszystkie wasze nieszczęścia pochodziły tylko z winy mego ojca...

— Gustawie... zapomnienie za zapomnienie... przebaczenie za przebaczenie... czy chcesz?

— Oh! Klaro! Kocham cię nad życie, ale czy ty zechcesz nosić moje nazwisko? Twoja matka nigdy na to nie zezwoli.

— Mylisz się Gustawie, ja się zgadzam, małżeństwo wasze będzie moją rehabilitacyą, bo syn człowieka, który mnie kiedyś potępiał, da swoje nazwisko mojej córce. Cóż to... milczysz?

— To szczęście mnie olśniewa... Oh! Klaro, tylko twoja miłość wróci spokój mojej duszy.

— Chodź do nas, mój synu... ogrzejesz się u naszego ogniska... będę cię kochać jak matka.

— Jakże pani jesteś dobrą... za kilka dni przyjadę do was, a potem nie rozdzielimy się już nigdy.

ROZDZIAŁ VII.

Ostatnie niebezpieczeństwo.

Moeb nie zapomniał o swoich zamiarach, kochał Klarę coraz namiętniej, a przeszkody doprowadzały go do szału. Pewnego dnia odebrała ona list tej treści: „Straciłem już cierpliwość, miej się na baczności, przypomnij sobie Roberta Aujoux.“ — Klara przestraszyła się bardzo, wiedziała, że Moeb zdolny jest do wszystkiego, zabije Gustawa, jak zgładził tamtego. Stała się nerwową, niespokojną, wszyscy myśleli, że jest chora, ona podarła list, nikomu nic nie powiedziała, lecz w dwa dni potem odebrała nowy, to był zupełny rozkaz. „Bądź jutro o 2-giej godzinie na drodze do Azay, jeżeli nie przyjdziesz, sama będziesz wtedy odpowiedzialną za to, co się stanie.

Biedne dziecko nie miało odwagi udać się na to spotkanie, pamiętało, jak brutalnym był wtedy Moeb w lesie, lecz na szczęście przypomniała sobie swego obrońcę, hrabiego Huberta, i u niego postanowiła szukać rady, bezzwłocznie też napisała do Fenestrel o wszystkiem. Hrabia przybył do domu Jana nad wieczorem, a że traf zrządził, że nikogo prócz Klary nie zastał, mogli rozmawiać swobodnie.

— Bądź spokojną, moje dziecko, mówił hrabia, dobrze, żeś się do mnie zwróciła, ja cię uwolnię raz na zawsze od tego nędznika, ale musisz mieć do mnie zupełne zaufanie i być mi posłuszną jak ojcu. Czy mi na to przysięgasz?

— Tak, panie.

Wiedz o tem, że ten człowiek to złoczyńca, złodziej i fałszerz, a ja muszę go ukarać. Więc on prosi cię o spotkanie?

— Tak, ale ja nie pójdę.

— Przeciwnie musisz iść, musisz go nawet wysłuchać.

— Oh! panie, przecież ja kocham Gustawa, nie wolno mi słuchać obelg tego nędznika!

— Tak trzeba moje dziecko... to jest... mój brat, ale tak bardzo zmieniony, że tylko ja jeden go mogłem poznać... to zabójca doktora Renneville, cóż czy teraz zrobisz to, co ja pragnę?

— Tak, panie hrabio.

— Pójdziesz zatem jutro, będziesz z nim mówić, a nawet naznaczysz mu drugie spotkanie w miejscu i godzinie, które ja ci oznaczę. Ten człowiek kocha cię do szaleństwa, zrobi co każesz, zresztą udasz, że mu jesteś wzajemną, a wtedy powiesz mu te słowa, jakich się nauczysz dobrze na pamięć, oto masz, spisałem je na kartce. Bądź spokojną, Klaro, ja będę z blizka czuwać nad tobą; dla twego szczęścia musisz to wypełnić, choćby cię to wiele kosztować miało.

— Dobrze, panie hrabio, uczynię ze siebie wszystko, ale pod jednym warunkiem. Panie... moja matka jest niewinną zbrodni, za którą ją skazano, wkróce zwróconą jej będzie cześć publicznie jako wynagrodzenie za tyle lat poniżenia i cierpień, wtedy panie pomyśl o mojej siostrze Luizie. Ona kocha twego syna, a pan odmawiasz im szczęścia...

błagam pana, pamiętaj, że oni cierpią i czekają na twoje pozwolenie.

— Dobrze Klaro, będę pamiętać o tem, ale i ty jutro wykonaj to, na co przysięgłaś.

Po odejściu hrabiego, Klara napisała depeszę do Moeba, że zgadza się na spotkanie, lecz kiedy wychodziła z domu, żeby ją odnieść, usłyszała przechodząc koło pokoju Jana rozmowę, która ją przejęła nowym strachem. Gustaw opowiadał Janowi, że miał przed chwilą w drodze z Tours w wagonie bardzo niemiłe zajście z pewnym zdawna znajomym mu bankierem, które niestety musi się zakończyć pojedynkiem. Rzecz miała powody bardzo głupie o cygaro czy coś podobnego, lecz może się źle zakończyć, gdyż człowiek ten kocha Klarę, zabił Roberta, a teraz szuka nowej ofiary, bo wie, że on teraz stoi mu na drodze.

Klara prawie martwa, wysłuchała całej rozmowy, uspokoiła się trochę, dopiero kiedy Jan i Gustaw postanowili hrabiego prosić na sekundanta, udała, że nie wie o tem, co zaszło, a nazajutrz o 2 w południe wymknęła się na oznaczone spotkanie. Moeb czekał już na nią i powitał z radością, nie wiedział on dotąd, kto jest Klara, przemawiał do niej dawnem imieniem Maryi, które ona przybrała w Paryżu. Pamiętna obietnicy danej hrabiemu, Klara opanowała wstręt do tego człowieka, była wesołą, a tak uprzejmą, że Moeb szalał z radości. Wymogła na nim, że odstąpi od pojedynku z Gustawem, że go listownie przeprosi, a sama obiecała towarzyszyć mu do Paryża i przyjąć obiecane bogactwa. W pierwszej chwili Moeb sądził, że to żarty z jej strony, lecz kiedy dała mu słowo, że jak tylko Gustaw list odbierze, ona przyjdzie na spotkanie i już się nie rozłączą, uwierzył tembardziej, że Klara chciała uciekać z nim tegoż dnia wieczorem jak zmrok zapadnie. Gdzież mam czekać pytał, nie wierząc jeszcze w swoje szczęście Moeb.

— Przyjdę o 10 wieczorem do ruin opactwa.....

— Nie... nie... nie chcę tam nigdy...

— Jakto odmawiasz pan, nie chcesz mnie wykraść, już mnie nie kochasz?

— Maryjo... przez litość nie mów tak... dobrze przyjdę...

— A więc czekam... ale najpierw list, kto chce coś otrzymać, musi najpierw sam coś dać...

— Do widzenia... odejdź pan teraz... do wieczora!

Bankier uradowany poszedł spiesznie do miasta, wtedy z ukrycia wyszedł hrabia i zastał biedne dziecko we łzach wywołanych wysiłkiem całej tej rozmowy. Uspokoił ją i prosił, aby pamiętała, że ocali Gustawa i zapewni szczęście Luizie!

ROZDZIAŁ VIII.

Ruiny Opactwa.

Przez resztę dnia aż do wieczora myśl o szczęściu Luizy dodawała Klarze odwagi, lecz ze strasznym niepokojem oczekiwała godziny 9-tej, żeby się wymknąć z domu bez zwrócenia niczyjej uwagi. Położyła się do łóżka i udała, że zasypia, dopiero kiedy Luiza zasnęła, a Bertelin i Karolina udali się do swoich pokoi, Klara wstała, ubrała się szybko i wyszła na drogę do ruin. Z początku nie miała odwagi iść tak samej przez wieś, noc była piękna, niebo pokryte gwiazdami, lecz biedną dziewczynę przeraża ta cisza i myśl o spotkaniu z tym niegodziwym człowiekiem. Trzeba się jednak było odważyć na wszystko dla ocalenia życia Gustawa, hrabia dał słowo, że czuwać będzie; przyspieszyła kroku i wkrótce stanęła przed kaplicą. Jednej tylko rzeczy nie przeczuwała, że z domu Jana zaraz za nią wysunął się cicho cień drugiego człowieka, co ją śledził zdala... to był Gustaw. Zbliżył się on za Klarą do ruin, nie widział wiele, lecz słyszał dwa głosy. Klara, jego ukochana rozmawiała z jakimś człowiekiem, którego głos drżał miłością i wielkiem wzruszeniem, pochylił się bardziej i oto wyraźnie oboje... tak to była ona, a przy niej bankier Moeb jego przeciwnik jutrzejszego pojedynku... to był zabójca Roberta Aujoux! Gustawa ogarnęła wściekła złość i ból.... co to znaczy, może on jest igraszką przywidzenia... czyż to możliwe, aby Klara, ona co go tak kochała, przychodziła tu na spotkanie z tym człowiekiem? Kocham cię, mówił bankier... nareszcie przyszłaś, jestem szalony z radości.

Zobaczysz jak będziesz ze mną szczęśliwa, zrobię cię najbogatszą między bogaczkami, będę zaspakajać wszystkie twoje kaprysy i wymagania... kocham cię — lecz czemu ona nic nie odpowiada, zdaje się być przestraszoną... ten człowiek pochyla się nad nią, pokrywa jej ręce pocałunkami... Gustaw nie może dłużej patrzeć na to, rzuca się w ich stronę, gdy nagle dwie silne dłonie chwytają go za ramię i zatrzymują na miejscu, a głos jakiś szepcze mu do ucha:

— Ani słowa, milcz, zostań tu. Młody człowiek chce się wyrwać, odwraca się i widzi przed sobą hrabiego Thiellay, który kładzie mu dłoń na ustach i znów mówi cicho. Ani słowa, nie miej złych myśli, Klara jest tu, bo ja tak chciałem, ona wie, że czuwam nad nią. Była to zagadka dla Gustawa, jednakże usłuchał i stał spokojnie, Klara mówiła dalej do Moeab.

— Teraz kiedy już mam ten list przepraszający....

— Więc zapomnisz o nim i będziesz mnie kochać... a czy długo... czy zawsze?

— Oh! tak.... zawsze... a pan czy będziesz mnie też kochać czy będziesz szczęśliwy?

— Ah! Jak nigdy w życiu!

Moeb powiedział to głosem pełnym prawdziwego uczucia i szalonej namiętności, wtedy Klara pochyliła się ku niemu, objęła ręką za szyję i swoje usteczka przyłożyła do jego ucha, on zadrżał pod tą niespodziewaną pieszczotą, ale ona mówiła wolno:

— Nędzniku przeklinam cię... widmo moje nie opuści cię nigdy... już nigdy, to będzie moja zemsta. Ona dosięgnie cię i uderzy w ciebie w dzień najpiękniejszy twego życia, pamiętaj... pamiętaj!

Wrażenie było piorunujące, od pierwszych słów Moeb nie rozumiał co się stało... czy słyszy słowa miłości, czy groźby... lecz potem wydał okrzyk niewypowiedzianego przerażenia i ze wstrętem odsunął się od Klary, zasłaniał się przed nią rękoma, jakby przed widmem, nie rozumiał czy ma przed sobą młodą dziewczynę, czy tamtego... konającego w uścisku jego żelaznych rąk starca.

— Nie... nie... nie... ale ona zbliżała się do niego i powtarzała... Uderzy w ciebie w dzień najpiękniejszy twego życia pamiętaj! — Hrabia i Gustaw wyszli z ukrycia, zobaczyli, że Klara słabnie, że ją wyczerpała odegrana rola, Moeb przerażony krzyczał nieludzkim głosem.

— Precz... precz... nie chcę cię widzieć.. precz, bo cię zabiję jak tamtego!

Klara pochyliła się, Gustaw w sam czas przybiegł, żeby ją unieść w ramionach; hrabia zawołał:

— Idź... zanieś ją do domu, staraj się, żeby prędko zapomniała o tem, co tu zaszło.

— Ależ ja nie mogę pana zostawić tu samego z tym człowiekiem!

— To mój brat... jestem bezpieczny, on mi nic złego nie będzie śmiał zrobić... zresztą patrz on i tak zaledwie żywy.

— To była prawda, Moeb jakby w napadzie szaleństwa tarzał się po ziemi i wołał ratunku. Gustaw nie opierał się, odszedł unosząc zemdloną Klarę.

Hrabia zbliżył się do Moeba, leżał on jak martwy a choć serce jego biło, lecz umysł był jakby obłąkany, poznał jednakże hrabiego, gdyż powiedział:

— Mój brat... to nie widmo... to nie tamten!

— Przyznajesz się wreszcie nędzniku, żeś moim bratem, wstań, chodź ze mną... ja tak chcę.

— Gdzie mnie chcesz zaprowadzić?

(Dokończenie nastąpi.)



Złote myśli.

Wiara jest to sklepienie, z którego gdy wyjmiesz cegiełkę, to runie całe. Tak i w duszy gdy się zrobi szczerba, wchodzi w nią niewiara. *Kraszewski.*

* * *

Bo mocno wierzę, że mnie nic nie czeka,
Jeno co mi los przeznaczył od wieka. *Kochanowski.*

* * *

Wiara bez dobrych uczynków jest jak drzewo bez owocu, miłość jako matka bez dzieci, modlitwa jako ptak bez skrzydeł. *Skarga.*



MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

8) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

I otworzywszy raz jeszcze list do matki, dodał następujące słowa:

— Matko droga, zostawiam ci jeszcze jeden obowiązek do spełnienia! Kocham młodą i uczciwą dziewczynę i byłbym się z nią ożenił, gdyby mnie los okrutny nie zmuszał do opuszczenia wszystkiego, co mi drogie... Zofia Mikołajewna jest biedną pracownicą w fabryce.

Ale ja wiem, że to jej nic nie zaszkodzi u ciebie! Twoje szlachetne serce nie zna różnicy w zewnętrznych przymiotach. Błagam cię matko, nie opuszczaj jej! Znajdziesz w niej przywiązaną i wdzięczną córkę! W papierach moich jest adres. Szczepan zna ją także. Zajmij się również Szczepanem, on zasługuje na to. Żegnam cię raz jeszcze i raz jeszcze proszę, wybacz twemu nieszczęśliwemu synowi.

— Już szósta, rzekł, spoglądając na zegarek. Najwyższy czas!

Światło dzienne zaglądało jeszcze przez spuszczone rolosy, gdy Karol po raz drugi brał rewolwer.

Ale teraz stał się cud, o który Szczepan tak gorąco prosił Boga!



I jednym skokiem stanąwszy przy nim uchwyciła go za ręce.

W chwili, gdy Karol przykładał rewolwer do czoła, otworzyły się ukryte drzwi w ścianie, i młoda, nędznie prawie ubrana dziewczyna wbiegła do pokoju.

Na widok rewolweru w ręku Karola krzyknęła przeraźliwie.

— Co ty robisz! Na Boga!

I jednym skokiem stanąwszy przy nim, uchwyciła go za ręce.

Strzał padł, ale kula utkwiła w przeciwległej ścianie.

— Karolu, wołała Sonia, czemu ty się chciałeś zabić! Czyś zapomniał o twej matce, o mnie? A przedewszystkiem czyś zapomniał o Bogu?

— Ach, odrzekł Karol niechętnie, ja żyć dłużej nie mogę i nie chcę! Po co tu przyszłaś? Nigdy jeszcze nie byłaś w mojem mieszkaniu, i co właśnie dziś cię tu sprowadziło?

— Bóg! zawołało dziewczę z głębokiem przekonaniem. Przechodziłam koło twej willi, jak codziennie o tej porze, wszakże tędy droga do mej fabryki, i chciałam oddać Szczepanowi nożyk, który przedwczoraj zostawiłeś u mnie. Weszłam do domu — drzwi wszystkie otwarte, Szczepana nigdzie nie ma — szłam więc dalej — na los szczęścia i zdążyłam właśnie na czas, aby cię powstrzymać od popełnienia tego okropnego czynu. Czy to nie ręka Boga mnie tu wprowadziła?

— Tak — ale...

— Nie, nie, nie ma już żadnego ale! Powiedz mi raczej, co się stało — może ja ci pomogę...

— Biedna Soniu, rzekł Karol z smutnym uśmiechem, gdybyś ty mogła mi pomódz, to nie potrzebowałbym sobie życia odbierać.

— Pomimo to możesz mi powiedzieć, o co chodzi!

Karol nie opierał się dłużej łzom i prośbom ukochanej i powiedział jej wszystko, dodając, że dla niego nie ma innego wyjścia z tej sprawy, jak — śmierć.

— Ten, kto ukradł ten dokument, rzekła Sonia zamyślona, uczynił to naturalnie z polecenia jakiejś wysoko stojącej osoby, bo zwyczajny złodziej szuka złota, a nie dokumentów!

— Tak jest, ale to faktu nie zmienia. Idź teraz — ja muszę umrzeć!

— O nie! ty żyć będziesz! Za kilka godzin będziesz miał ów dokument, przysięgam ci to!

Oczy młodej dziewczyny błyszczały ponurym ogniem, a białe ręce zacisnęły się kurczowo. Karol mimowoli spojrzał na nie i zdumiał. Skąd prosta robotnica mogła mieć tak białe i delikatne ręce?

— Kto ty jesteś, Soniu? zawołał. Wyglądasz jak królowa, pocieszasz mnie z taką pewnością siebie....

— Wiesz, kto jestem, przerwała żywo, biedną robotnicą z fabryki, która pracuje na chleb. Wszakże byłeś już kilka razy w mojem nędznem mieszkaniu i wiesz, jak skromne mam utrzymanie!

— To prawda! Ale czemu wolno mi było przyjść do ciebie tylko za poprzedniem kilkagodzinnem uwiadomieniem cię?...

— Bo muszę zawsze prosić o urlop w fabryce. Ale mniejsze o to! Przysięgnij mi teraz Karolu, że zaczekasz trzy godziny — jeżeli po upływie tego czasu nie będę tu z dokumentem, to rób, co chcesz... Rewolwer zabieram chwilowo z sobą! O dziewiątej wręczę ci albo dokument, albo — rewolwer! Przysięgnij!

— Przysięgam ci! Do dziewiątej będę czekać!

Po odejściu Soni popadł Karol w głębokie zamyślenie.

— Do kogo ona jest podobną? — mówił sobie w duszy. — Przypomina mi inną twarz — ale czyją?

Sonia tymczasem biegła szybko przez puste jeszcze ulice, potem wskoczyła do dorożki, czekającej widocznie na nią i szepnęła dorożkarzowi jakiś adres... W powozie otuliła się w kosztowne sobolowe futro, nogi wsunęła w futrzane trzewiki i oparłszy się wygodnie o poduszki, zamknęła oczy.

Po upływie pół godziny stanęła dorożka przed ogromnym, ciemnym gmachem.

Była to dyrekcya policyi, a wszechwładnym panem — był Wasyli.

Sonia otuliła się mocniej futrem, aby ukryć ubranie robotnicy i szła śmiało naprzód. Dwóch kozaków zastąpiło jej drogę.

— Nie wolno dalej — rzekł jeden z nich.

Sonia, milcząc, wyjęła z kieszeni małą, srebrną tabliczkę, na której widok kozacy cofnęli się żywo.

— Proszę, mnie zameldować dyrektorowi — zawołała teraz rozkazująco.

— Jego Ekscelencyi nie ma tu jeszcze — brzmiała pokorna odpowiedź.

— Kłamstwo!

I trzymając srebrną tabliczkę w ręku, szła Sonia dalej, a nikt nie śmiał stawiać jej oporu. Nareszcie stanęła przed małemi drzwiami i zapukała.

— Kto śmie mi przeszkadzać? — krzyknął Wasyli, odsuwając rygiel. — Powiedziałem wyraźnie, że nikomu nie wolno przychodzić do......

— To ja! — przerwała Sonia.

— Ah! Księżna!

— Cicho! Muszę się z panem rozmówić!

I znikła w pokoju dyrektora.

Po upływie dziesięciu minut wyszła, z dokumentem w ręku, a oczy jej jaśniały tak, jak gdyby największe była odniosła zwycięstwo. Zaraz potem pędziła z nią dorożka do wili Karola.

Nieszczęśliwy młodzieniec tymczasem, zwalczony doznanem wzruszeniem i zmęczeniem, usnął głęboko.

I spał tak mocno, że nie obudził się nawet, gdy Sonia weszła do pokoju.

Najpierw położyła dokument na biurku, potem pocałowała lekko czoło ukochanego.

— Śpij — szepnęła ze łzami w oczach — mój najdroższy, moje szczęście jedyne! Kiedyś może dowiesz się, jaką dziś ofiarę poniosłam dla ciebie — ale tak być musiało! Rewolwer zabieram z sobą — gdy przestaniesz mnie kochać — ale nie! I nigdy też nie dowiesz się, że twoja Sonia nie jest robotnicą — że jest księżną...

Po chwili wysunęła się cichutko i przymknęła drzwi za sobą.

Karol spał ciągle. —

* * *

Bal u księcia Bassano zbliżał się już ku końcowi.

Muzyka grała jeszcze wprawdzie, młodzież tańczyła, ale goście zaczynali się rozjeżdżać.

Księżna Diana, uprzejma i uśmiechnięta, żegnała odjeżdżających i gdy ostatni gość opuścił pałac, udała się do swej sypialni.

Ale zanim zdążyła wejść do pokoju, ukazał się na kurytarzu mąż jej.

Był to wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, o krótkiej ciemnej brodzie i jasnych, przenikliwych oczach.

— Diano, rzekł szorstko, chcę cię o coś zapytać!

— Proszę, brzmiała krótka, dumna odpowiedź.

— Chciałbym wiedzieć, gdzie byłaś dziś od szóstej do wpół do ósmej? Znikłaś nagle i ukazałaś się dopiero wtenczas, gdy goście zaczęli się rozjeżdżać. Gdzie byłaś w tym czasie?

— U dentysty. Ząb mnie zabolał — ale zkąd ty do tego przychodzisz, aby mnie szpiegować? Wszakże każde z nas ma nieograniczoną wolność osobistą!

— Nie, krzyknął książe gwałtownie, to się musi skończyć! Każdy mi zazdrości najpiękniejszej żony, a ja nie wiem o tem, że wogóle żonę posiadam! Nie, ja mam prawo do twej miłości i praw tych nie myślę się wyrzekać. Nie chcę być twoim niewolnikiem.

I mówiąc to zbliżył się ku niej z wyciągniętemi rękami, a twarz jego strasznym wykrzywiła się uśmiechem.

Diana zadrżała.

— Precz! krzyknęła, nie zbliżaj się do mnie! Wzbudzasz we mnie wstręt i obrzydzenie!

— Diano! ja — ja —

Potem rozległ się głuchy łoskot — i książe Bassano leżał na ziemi.

Był to okropny widok. Książę wił się w kurczach epileptycznych.

Diana zadzwoniła na służącego.

— Zanieście księcia do jego pokoju, rzekła krótko i odeszła.

Gdy po chwili siedziała w sypialni przed kominkiem, przebrana w biały jedwabny szlafroczek, wyjęła z za stanika złoty medaljon i otworzyła go.

W medjolanie znajdowała się fotografia młodego, pięknego mężczyzny.

Diana przycisnęła fotografię do ust, a oczy jej napełniły się łzami.

— Oh, Karolu! Najdroższy! szepnęła, jesteś ocalony!

ROZDZIAŁ XIX.

Ofiary płomieni z dnia 8 grudnia 1881.

Było to dnia 8 grudnia r. 1881.

Dawno już nie pamiętano w Wiedniu tak pięknej zimy! Śnieg spadł obficie, mróz zjawił się w samą porę, i wszyscy używali w całej pełni przyjemności zimowych.

Wieczór rozłożył już swe cienie nad ziemią — latarnie pozapalano i niezliczone tłumy ludzi chodziły po ulicach.

Spieszono do teatru, w którym dawano „Opowiadania Hoffmanna“. Miała tam występować ulubiona śpiewaczka we Wiedniu, Emilja Stubel, zwana ogólnie piękną Milli.

Około szóstej wyszły dwie osoby z pałacu cesarskiego na ulicę — jedną z nich był wysoki mężczyzna w kosztownem futrze, drugą kobieta w skromnem mieszczańskiem ubraniu.

— Więc panna Stubel nic nie wie o tem, odezwała się teraz piękna kobieta, że jestem dziś w teatrze?

— Najjaśniejsza Pani, zaręczam....

— Daj pokój, Janie, tym tytułom! Cesarz nie darowałby mi nigdy mojej wycieczki do teatru, on taki uważający! A ja przecież idę mniej z ciekawości, jak dlatego, aby wypełnić dobry uczynek!....

— Poznaję znowu szlachetne serce cesarzowej Elżbiety, szepnął arcyksiążę Jan.

— I myślisz, że nie doznasz rozczarowania? Że ona ci wystarczy, ta mała śpiewaczka?

— Emilja Stubel jest artystką!

— Ma pieniądze?

— Nie! Pracuje ciężko na chleb — wspomaga rodziców i rodzeństwo.

— A tyś jej pieniędzy nie dał?

— Ofiarowałem naturalnie, ale ona nie przyjęła dotąd ani grosza!

— To przemawia bardzo na jej korzyść! Postarałeś się o to, abym niepostrzeżona mogła stać za kulisami?

— Tak, wszystko jest przygotowane! Powiedziałem staremu inspicientowi Bajerowi, że jedna z pań wielkiego świata chce się przypatrzeć życiu zakulisowemu.

— A ty, Janie, odprowadzisz mnie znowu do pałacu?

— Naturalnie! Przywitam tylko Emilją i wrócę zaraz do Najjaśniejszej Pani!

— Dobrze. Ale chociażby Emilja zyskała całą moją sympatyą, to to nie wystarcza. Na zaślubienie jej potrzebujesz koniecznie zezwolenia cesarza!

— Wiem o tem!

Za kulisami panował ogromny ruch. Aktorzy i aktorki biegali tu i tam, baletniczki kłóciły się, chórystki i muzykanci rozmawiali głośno, a reżyser przechadzał się z książką w jednej a z dzwonkiem w drugiej ręce.

Cesarzowa stanęła na wskazanem jej przez starego Bajera miejscu, a wszechwładny reżyser patrzał na nią z taką miną, jak gdyby chciał powiedzieć: i ty śmiesz przychodzić tutaj?

Pomalowane twarze aktorek budziły w niej wstręt prawdziwy — damom dworskim nie było wolno używać kosmetyków, z wyjątkiem pudru.

Tuż obok cesarowej stanęły teraz dwie młode aktorki, przebrane za studentów.

— Jak się miewa twoja matka? zapytała jedna.

— Źle. Umiera, brzmiała smutna odpowiedź.

— I ty grasz dzisiaj?

— A cóż mam robić? Gdybym nie przyszła, to dyrektor wypędziłby mnie bez litości! Ach, ty nie wiesz, co się w mojem sercu dzieje! Gdy pomyślę, że ja tutaj tańczę i śmieję się, a tam — matka kona może... I za co ją pochowam? Wszystko, co miałam poszło na doktora, zaliczki dać mi nie chcą....

Cesarzowa wyjęła z portmonetki pięć dukatów i wcisnęła je w rękę zdumionej dziewczyny.

— Niech Bóg da zdrowie twej matce, szepnęła wzruszona.

Biedna chórystka zalała się łzami. Ale zanim zdołała wymówić słowo podziękowania, zbliżył się reżyser.

— Dalej, na scenę, krzyknął. A uważać! Bo jak dziś nie będzie lepiej, niż było wczoraj, to was wszystkich powyrzucam. Spieszcie się!

W tejże chwili krzyknął z bólu. Mały kamyszek spadł z góry i uderzył go prosto w nos.

— To sprawka Franciszka, mego narzeczonego, szepnęła chórystka. Ale teraz uciekajmy!

— Panie reżyserze, mam list dla pana, zawołał w tejże chwili stary Bajer. Obawiam się jednak, że złą zawiera wiadomość! Zdaje mi się, że to atest doktorski!

Reżyser porwał list, rozciął kopertę i jęknął.

— Jesteśmy zgubieni! Ten Weitman przeklęty pisze, że zachorował, i że dziś śpiewać nie może! Kłamstwo!

— Biegnijcie czemprędzej po dyrektora!

Bajer wybiegł jak strzała i wrócił po chwili z wytwornie ubranym dyrektorem.

— Co się stało? Jestem tak zajęty....

— Każ pan kasę zamknąć, rzekł reżyser, przedstawienie nie może się dziś odbyć!

— Czyś pan oszalał?

— Nie! Weitman chory, śpiewać nie może, otóż list jego.

— W takim razie musi ktoś inny przejąć jego rolę, przedstawienie musi się odbyć....

Tak, tylko, że nie mamy nikogo, kto by Weitmana mógł zastąpić.

— Trzeba się było prędzej na takie wypadki przygotować! Nie umiesz pan zarządzać teatrem — jestem z pana bardzo — bardzo niezadowolnym!

Cesarzowa uśmiechała się!

Reżyser, pan wszechwładny, stał się teraz tak pokornym, że aż drżał ze strachu.

— Gdyby mi było wolno zrobić panom pewną propozycyą, — odezwał się w tejże chwili Bajer, to możeby się rada znalazła i przedstawienie odbyłoby się!

— Mów pan!

— Ja znam kogoś — jeden z chórystów ma prześliczny głos, i zna tę rolę bardzo dokładnie....

— Chórysta? — zawołał dyrektor pogardliwie, — kto taki? Jak się nazywa?

— Maksymilian Dorn!

Cesarzowa zadrżała. Czy to był mąż Józefiny?

— Ach, prawda, — rzek reżyser, — jest to dumny, nieznośny człowiek, ale ma głos — tak — możnaby spróbować!

— Zawołajcie go! — rozkazał dyrektor. — Od kiedy jest on tutaj? — dodał, zwracając się do reżysera.

— O, to dziwna historya. Właściwie odkrył go Bajer. Słyszał go kilka razy śpiewającego w jego mieszkaniu, i widząc, że nie ma żadnego utrzymania, zapytał go, czyby nie chciał śpiewać w chórze na scenie.

Dorn zgodził się na to — ale po długim dopiero namyśle i......

— Pytałem się, od kiedy on jest u nas. Gdzie go pan angażowałeś?

— W Hamburgu! Dawaliśmy tam wówczas przedstawienia!

— Więc on pochodzi z Hamburga?

— Nie wiem, ale zdaje mi się, że nie. Wymowa jego zdradza Austryaka. Ale otóż i on!

Maksymilian zbliżył się i pozdrowił uprzejmym ukłonem obydwóch panów.

Cesarzowa wstrzymała oddech. Tak, to był mąż Józefiny, ów świetny oficer, który na jej życzenie wstąpił na ciernistą drogę pokuty!

— Dotrzymał słowa, — pomyślała. — Cierpi, pokutuje i — dojdzie do celu.

Reżyser tymczasem opowiedział mu w kilku słowach, o co chodzi.

Maksymilian zgodził się na wszystko, i na żądanie dyrektora zaśpiewał zaraz jedną z większych aryi dzisiejszej operetki.

Dyrektor był zachwycony.

— Doskonale! Wybornie, — wołał. — Nie potrzebujemy Weitmana, niech będzie chory, pan zastąpisz go świetnie. Zarobisz tysiące w przyszłości, a dzisiejszy wieczór będzie początkiem twej karyery.

Po upływie dziesięciu minut było wszystko gotowe.

— Zaczynajmy — rzekł reżyser.

Jedna z aktorek spojrzała jeszcze prędko przez otwór w kurtynie.

— Teatr przepełniony, — zawołała. — A jaka wytworna publiczność. Tam baron Frascati — wrócił niedawno z Petersburga, a gdzie on, tam i księżna Bassano! Prześliczna kobieta, ale mąż jej brrr....

— Czy baron kocha ją? zapytała druga.

— Nie, on pokochał podobno jakąś robotnicę z fabryki w Petersburgu, ale matka jego nie pozwala mu się z nią żenić! Biedny, powiedział, że nie ożeni się już nigdy!

— To tak, jak nasza Milli! Jej arcyksiąże przysiągł także, że innej nie weźmie! Szkoda tej dobrej, poczciwej dziewczyny.

— Widzisz ją — tam? Stoi za drugą kulisą, arcyksiąże obok niej, nie patrzmy na nich! On tego nie lubi!

Cesarzowa przeszła niepostrzeżenie za drugą kulisę i słyszała całą rozmowę zakochanych.

— Bądź zdrową, najdroższa Milli, — mówił arcyksiąże, — muszę cię teraz pożegnać, inaczej byłabyś roztargnioną na scenie. Powiem ci tylko jeszcze, że wyglądasz prześlicznie i że cię kocham z całego serca!

Emilia przytuliła głowę do jego ramienia.

— O, i ja kocham cię, — szepnęła smutnie. — Boję się jednak, że nadejdzie godzina, w której zapomnisz o mnie...

— Nigdy! Kto ci to powiedział?

— Wszyscy! Inaczej też być nie może! Ty, arcyksiąże, a ja — biedna aktorka — ach, to się nie zgadza z sobą!

— Więc chcesz zerwać ze mną? spytał książe ponuro?

— Gdyby chodziło o twoją karyerę — o twoje szczęście — to poświęciłabym się chętnie! Nie chciałabym za nic w świecie, abyś z mego powodu doznał jakich nieprzyjemności z strony cesarza....

— Nie obawiaj się o to! Kocham cię, i będziesz moją! A cesarzowa? Ja się tak boję cesarzowej!

— Ach, to najszlachetniejsza kobieta na ziemi!

— Wiem, słyszałam, ale....

Panno Stubel, proszę na scenę, — zawołał w tejże chwili stary Bajer uprzejmie.

Arcyksiąże przycisnął raz jeszcze ukochaną do serca i cofnął się w głąb kulisy, Emilia poszła na scenę. Cesarzowa wróciła na swoje dawne miejsce, a rozmowa, którą co dopiero słyszała, zyskała zupełnie jej zadowolenie.

Tutaj stał Maksymilian, otoczony gronem aktorów i aktorek, a każdy ściskał mu ręce i dodawał odwagi.

Emilia zbliżyła się także do niego.

— Winszuję panu, — rzekła serdecznie, — wiedziałam oddawna, że masz bardzo piękny głos. Gramy dziś razem i spodziewam się, że dzisiejszy wspólny występ będzie początkiem szczerej przyjaźni.

— Dziękuję pani, — odpowiedział Maksymilian poważnie. — Byłaś zawsze dla mnie uprzejmą i dobrą i gdybyś kiedykolwiek potrzebowała rady i pomocy przyjaciela, to nie zapominaj o mnie.

Maszynista zapalał spirytusowe lampy — aktorzy grupowali się szybko na sieni. Muzyka zaczęła grać — głęboka cisza zapanowała w całym teatrze.

— Mateuszu, — zawołał cicho maszynista, — przyślij mi tu kogo do pilnowania lamp spirytusowych — i kosz piasku. W razie gdyby się jedna z lamp przewróciła, trzeba płomień piaskiem zasypać.

Po chwili zsunął się z drabki jeden z robotników z koszem piasku.

— Stań tam, za kulisą — tam, gdzie ta pani siedzi, — rzekł maszynista, wskazując na cesarzową.

— Dobrze!

Robotnik zbliżył się do cesarzowej i stanął tuż przed nią.

Elżbieta zachwiała się i obydwiema rękami schwyciła poręcz krzesła.

W robotniku poznała na pierwszy rzut oka — Macieja Hilberta szewca z Hernals, zbrodniarza z stepu!

Z pomiędzy miliona ludzi byłaby od razu poznała tego człowieka! Obraz tej wstrętnej, obrzękłej twarzy wrył się zbyt dokładnie w jej pamięci!

Nagle zbliżyło się z drugiej strony dwóch mężczyzn. Cesarzowa obróciła się i ujrzała dyrektora teatru i komisarza policyi kryminalnej Overbeka.

— Na Boga, panie komisarzu, — prosił dyrektor, — nie przerywaj pan przedstawienia! To być nie może, aby zbrodniarz, którego ściga policya, miał się znajdować pomiędzy moim personałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W dzisiejszym zeszycie rozpoczęliśmy druk pięknej i sensacyjnej powieści p. t. „Zemsta młodej dziewczyny.“

Odezwa

w sprawie kasy wyborczej.

W ostatnich czterech latach komitet wyborczy rozwijał energiczne działanie, bo też prace wyborcze pomnażały się z roku na rok. Przypominamy, że w przeciągu niedawnego czasu przeprowadziliśmy dwukrotnie wybory do rady miejskiej, do parlamentu, do sądów procederowych, do kas chorych i komisyi podatku procederowego. Wybory w znacznej części przeprowadziliśmy z dobrym skutkiem.

Liczne te prace wyczerpały atoli naszą kasę prawie doszczętnie, a niebawem czekają nas nowe czynności wyborcze, które będą wymagały starań, zabiegów, a co najważniejsza, i nowych kosztów.

Apelujemy zatem do ofiarności naszych Obywateli i upraszamy o datki, po które kursor niebawem się zgłosi.

Przy tej sposobności zaznaczamy ponownie, iż stan nasz przemysłowy, rzemieślniczy i robotniczy niestety prawie wcale nie poczuwa się jeszcze do ofiarności na cele wyborcze; być może, iż wstydzi się dawać trojaczki i grosze, gdy widzi, jak inni kładą grzywny i talary. Wobec tego oświadczamy, *iż przyjmujemy każdy, choćby najdrobniejszy datek*, a milszy nam jest w takich razach grosz ofiarowany szczerem sercem i ochotnie, aniżeli talar rzucony z przekąsem lub utyskiwaniem na „żebraninę i natręctwo.“

Przykro nam wielce, iż znajdują się ludzie zamożni, którzy rzucają często krociami na cele bezużyteczne, ale służące do ich przyjemności; gdy natomiast kursor do nich się zgłosi po składki, to mu drzwi przed nosem zamkną, albo go zbywają sknerstwa dowodzącym frazesem lub drobiazgiem, jakiegoby się w innej sytuacyi wstydzili dać jako napiwek.

Tej większej atoli części obywatelstwa naszego miasta, która hojne ofiarowuje datki na cele wyborcze, składamy niniejszem wyraz uznania.

Obywatelom z przedmieść Jeżyc, Łazarza i Wildy donosimy, iż urzęda podskarbich na przedmieściach już nie istnieją i że jedynie skarbnik komitetowy p. Karol Rzepecki (Piekary 7) uprawnionym jest do wysełki kursorów.

Od zasobności funduszu wyborczego zależy zwykle pomyślny rezultat wyborów, gdyż w danym razie można przeprowadzić skuteczniejszą agitacyą.

Niechże się zatem każdy wyborca przyczyni jednorazowym rocznym datkiem wedle możności do wzmocnienia funduszu wyborczego.

Poznań, w maju 1902.

Komitet wyborczy dla miasta Poznania.

Dr. Kożuszkiewicz, prezes. Marcin Kaniasty, wiceprezes.

Karol Rzepecki, skarbnik.

Stanisław Chmielewski. Wacław Dolacki. Andrzej Janowicz. Jan Kaatz. Teodor Krause. Józef Kużaj. Zenon Lewandowski. Bronisław Noskiewicz. Marcin Noskiewicz. Stanisław Offierski. Stanisław Pfitzner. Kazimierz Poturalski. Anzelm Śmiśniewicz. Józef Sołecki. Stanisław Stolpe. Ignacy Szafran. Antoni Szczauiecki. Antoni Teski. Kazimierz Wendland. Seweryn Wrzesiński. Ignacy Zamiara.

Wiadomości.

— **Najprzewielebniejszy** Ksiądz Arcybiskup obchodził dnia 4-go b. m. 60-tą rocznicę imienin. Z licznych bardzo z blizka i daleka nadesłanych powinszowań zauważyć było można wielką cześć i gorące przywiązanie tak obywatelstwa jak też spracowanego ludu do swego Zwierzchnika Kościoła.

Życzymy Najprzewielebniejszemu Ks. Arcybiskupowi, aby jaknajprędzej powrócił do zupełnego zdrowia i aby przewodniczył kapłanom i wiernym jeszcze lata jaknadłuższe, Bogu na chwałę, a wiernym na pożytek.

— **Następny numer** świąteczny będzie bogaty w treść i obfity w illustracye. Między innemi dołączymy do tego numeru na wielostronne życzenia tak nowych jak też i starych Czytelników, jako obraz albumowy, piękny herb Polski w kolorach, który już czasu swego zamieściliśmy w „Pracy.“

Kto chce posiadać numer świąteczny z pięknym herbem kolorowym Polski, *niech bezzwłocznie zaabonuje „Pracę“ na miesiące maj i czerwiec* na poczcie, gdyż numer ten drukujemy tylko w ograniczonym nakładzie z powodu wielkich kosztów, które przewyższą wartość całej ćwierćrocznej przedpłaty.

— **Dla dentysty** byłoby korzystnem osiedlenie się w mieście powiatowem Ostrzeszowie, liczącem blizko 5000 mieszkańców i mającem bogatą okolicę z małemi miasteczkami. W Ostrzeszowie dotychczas dentysty nie ma. Donosi nam o tem p. Franciszek Rybczyński z Grabowa, do którego też reflektanci zechcą się zgłosić po bliższe informacye.

— **Z powodu** 50-letniego jubileuszu panowania Wielkiego księcia badeńskiego Fryderyka, został między innymi udekorowanym rodak nasz, prof. dr. Antoni Jurasz w Heidelbergu, otrzymał bowiem krzyż kawalerski I-szej klasy orderu lwa zähryngskiego.

— **Kupiec rodak** może nabyć w większem mieście Prus Zach. interes kolonialny wraz z destylacyą i hotelem. Dotychczasowy właściciel, który interes podniósł do kwitnącego stanu, jedynie dla słabego zdrowia zamierza go się pozbyć. Jak nam dobrze wiadomo, dla obrotnego kupca z odpowiednim (większym) kapitałem są wszelkie widoki dobrego powodzenia, gdyż dotychcza-

sowa liczna klientela pewna, a łatwo ją jeszcze pomnożyć oraz interes jeszcze rozszerzyć. Zgłoszenia należy przesłać pod J. St. do redakcyi „Gazety Grudziądzkiej.“ (Graudenz).

— **Zwracamy** uwagę na anons rodaka naszego, pana K. Suwalińskiego, który nabył drogeryą od pana S. Folarzyńskiego w Koźminie.

Pan K. Suwaliński współpracował dłuższy czas w handlach panów St. Olyńskiego oraz J. Czepczyńskiego, Centralna Drogerya w Poznaniu.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Blumenthal w Hanowerskiem**, d. 27. 4. (Sprawozdanie półroczne z roku 1901 i 1902 z czynności Tow. polsko-katolickiego „Sobieski“ w Blumenthalu od dnia 20 października 1901 r. aż do dnia 20 kwietnia 1902 roku.) Posiedzeń odbyło Tow. w ubiegłem półroczu 14: jedno walne zebranie, 12 zwyczajnych i jedno nadzwyczajne. Na posiedzeniach załatwiano sprawy Tow., ściągano składki miesięczne i czytano żywota św. Pańskich, artykuły z gazet; nadto członkowie mieli prelekcye treści naukowej. Tow. odbyło w przeszłem półroczu dwie zabawy, z tych jednę połączoną z teatrem. Towarzystwo abonuje: „Pracę“, „Wiarusa Polskiego“ i „Wielkopolanina“, Tow. posiada własną bibliotekę, składającą się z 156 książek, 76 książek są Tow. nadesłane z Czytelni Ludowej z Poznania bezpłatnie, które pozostają własnością Tow.

Nadto posiada Tow. różne przedmioty do zabaw służące, kilka instrumentów muzycznych, 2 wielkie obrazy, szafkę do sprzętów i chorągiew. Członków liczyło Tow. w przeszłem półroczu 53. Do rozwoju Towarzystwa przyczynili się panowie: Stanisław Konieczny, Wojciech Zaremba, Wojciech Zybała, St. Koczorowski. Cele dobroczynne Tow. są następujące: 1) Tow. urządziło Gwiazdkę, na której rozdawano podarunki dziatwie polskiej, 2) Tow. zbiera dobrowolne składki pieniężne i niesie pomoc członkom, którzy są złożeni chorobą. Dochodu było 198 m. 65 fen, rozchodu 193 m. 17 fen. zatem pozostaje czystego grosza 165 m. i 79 fen. Tow. oddaje swój dochód do kasy oszczędności, w której się znajduje 100 m.

Do zarządu zostali obrani następujący panowie: Wawrzyn Hadryan prezesem, Jan Osięgłowski zastępcą, Wojciech Kupczak sekretarzem, Bronisław Machnik zastępcą, Antoni Bigdowski skarbnikiem, Paweł Zaremba zastępcą, Stanisław Biedowicz bibliotekarzem, Józef Burdelak zastępcą, Roman Zieleziński chorążym, Wojciech Pawłowski i Franciszek Kraska asystentami wreszcie Wojciech Zaremba i Stanisław Konieczny rewizorami kasy.

Posiedzenia odbywają się co dwa tygodnie na sali pana Flocke, hotel Union. Wszelkie listy tyczące Tow. uprasza się nadsyłać na ręce prezesa lub sekretarza.

Wawrzyn Hadryan przwodniczący. Wojciech Kupczak sekretarz.

— **Düsseldorf nad Renem.** Roczne sprawozdanie z czynności Towarzystwa polskiego „Gwiazda“ w Dysseldorfie. Towarzystwo istnieje od 1 października r. 1899 Założycielem jest pan Józef Bochiński. W czasie od 1 października 1900 aż do 1 października 1901 r. miało Towarzystwo 96 członków, ale z powodu nieopłacania składek byliśmy zmuszeni przeszło połowę członków z Towarzystwa wykreślić, nadto blizko 25 wyjechało za pracą w inne strony, lub też wróciło w strony ojczyste; Tow. liczy obecnie tylko 25 członków.

Dochodu miało Tow. ze składek miesięcznych i ze składek dobroczynnych 286 m. 55 fen, a rozchodu na cele Tow. i na wsparcia ubogich itd. 293 m, tak iż Tow. ma w kasie deficytu 6 m. 45 fen. Z pism abonuje Tow.: „Pracę,“ „Postęp“, „Gazetę Grudziądzką“ i „Wiarusa polskiego“ z Bochum. Dostajemy także pismo polskie Salezytańskie z Włoch bezpłatnie. Książek posiada Tow. bardzo mało, bo tylko około 25, które po największej części odebrało w podarunku. Nadto każdy członek odebrał od Tow. śpiewnik kieszonkowy. Podczas posiedzeń zajmowało się Tow. odczytaniem rozpraw z książek lub artykułów z gazet, jako też sprawami społeczno-ekonomicznemi. Spiewano także pieśni religijne i patryotyczne. Posiedzenia zwyczajne odbywają się co sobotę wieczorem, a walne zebrania, których odbyło się 6, zawsze w niedzielę. Wszystkie posiedzenia odbywają się pod dozorem policyi

Do zarządu na rok bieżący wybrano panów: przewodniczącym Józefa Bochińskiego, zastępcą Stanisława Fabrowskiego II, sekretarzem Piotra Stasierskiego, zastępcą Wojciecha Stasika, kasyerem Franciszka Kozlinkę, a bibliotekarzami Marcina Glembalskiego i Ildenfonsa Nyklewicza.

Prosimy szlachetnie myślących o dalszą pamięć dla ubogich tułaczy, celem podniesienia Towarzystwa naszego. „Gwiazda“ zamierza między innemi zakupić dom dla gospody polskiej, która by tutaj bardzo pożądaną była!

Zarząd:

Józef Bochiński przewodniczący, Piotr Stasierski sekretarz.

Düsseldorf, Kölnerstrasse 51a.

Od Redakcyi.

— *Panu Kazimierzowi W. w Poznaniu.* — Zgłoś się Pan w tej sprawie po informacye do Zarządu Towarzystwa Młodzieży kupieckiej w Poznaniu.

Panu Kacz.... w Objezierzu pod Obornikami. — Otrzymaliśmy i dziękujemy najserdeczniej.

Panu B. N. w P. (Górny Slązk). — Notatki nadesłanej nam przez Pana, jako dotyczącej sprawy prywatnej i osobistej, w wiadomościach zamieścić nie możemy. Ogłoś Pan jako inserat.

Panu Skowrońskiemu w Poznaniu. — Fryzyerzy należą do stanu rzemieślniczego.

Panu Wojciechowi W. R. — Za wycinek dziękujemy. Pocieszającem jest, że i rozumni Niemcy, widząc gospodarkę instytucyi t. j, która podług obliczenia przy zielonym stoliku zniszczyć nas miała, wzruszają ramionami.

Panu Augustowi Sł. w Załężu (Górny Ślązk) — Wobec nawału pracy redakcyjnej nie możemy się zająć Pańską sprawą mimo najszczerszej chęci. Udaj się Pan po informacye do ruchliwego Towarzystwa Młodych Przemysłowców w Poznaniu.

Panu Fl. w Kratwich. — Musisz Pan zameldować u władzy miejscowej administracyjnej, że rozpocząłeś wzmiankowany proceder i będziesz płacił t. zw. podatek procederowy (Gewerbesteuer). Nic więcej nie potrzeba, sprowadzić Pan możesz towaru, ile Pan chcesz.

Imci Księdzu Maurycemu w St. Joseph (Karyntia). — „Kuryer Warszawski“, „Wiek“, „Słowo“, „Gazeta Warszawska“, „Gazeta Polska“, „Kuryer Codzienny“, „Kuryer Polski“, „Kuryer Poranny“ i tam dalej.

Pani Maryi P. w Berlinie. — Wiersz p. t. „Krakowiak“ nie nadaje się do druku. Myśl dobra, patryotyczna, ale wiersz bardzo słaby — prawie bez rytmu i rymu, a błędów gramatycznych i ortograficznych cały huk!

Panu L. M. w T. — Zamieściliśmy Pański anons — więcej w tej sprawie na razie uczynić nie możemy, gdyż, jak Panu wiadomo, p. B. jest w więzieniu. Nie przyrzekamy też Panu, abyśmy mogli w tej sprawie coś więcej uczynić, gdyż takiego „dobrodzieja“ niestety! u nas nawet z latarką Diogenesa trudnoby znaleść.

Panu N. N. P. W. S. — Nie możemy zamieścić, bobyśmy się narazili na proces.

Panu H. w Szczecinie. — Pan August Denizot w Poznaniu, ulica kolejowa 45. (Posen Bahnstrasse 45) poinformuje Pana w tej sprawie najlepiej i najdokładniej. — Anons kosztować będzie 2 mrk., przyślij Pan tekst anonsu i należytość do Administracyi „Pracy.“

Panu St. Anb. w Beurath pod Dyseldorfem. — Nadesłany nam wiersz był już zamieszczony w dawniejszych rocznikach „Pracy.“ Dziękujemy za pamięć.

Panu W. Ir. w Poznaniu. — Musisz Pan zameldować na magistrat i płacić Pan będziesz podatek procederowy.

Panu Now. w Pruskim Starogardzie. — Dobrze im, po co chodzą do niemieckich cukierni? Dla takich „Polaków“ to wyborne lekarstwo!

Pani Waleryi S. w Dublanach. — Zamieściliśmy w nr. 18 i najuprzejmiej dziękujemy. Ucieszyły nas następujące słowa w liście Pani: „„Pracę“ cenimy tutaj wszyscy za jej szlachetną tendencyą i nieustraszoną działalność....“ — Tak działamy i tak działać będziemy *usque ad finem!*

Komitetowi wyborczemu m. Poznania. — Rezultat wyborów reprezentantów kasy chorych nr. 4 podamy w następnym numerze ze wszystkich okręgów razem.

Pani Tekli Ł. w Berlinie. — Dzieci, gdy będą w Poznańskiem na wakacyach, będą się mogły po polsku spowiadać. Możeby się coś dało dla nich zrobić za pośrednictwem Towarzystwa „Stella“ wydziału dla kolonii wakacyjnych w Poznaniu. Do zarządu należą między innemi: hr. Benzelstjerna-Engeström z Poznania i książę Z. Czartoryski z Sielca.

Wykaz składek

na fundusz wrzesiński.

(Uzupełnienie.)

Pani Pobłocka z Robakowa 9,50 mrk.

Wydawnictwo „Pracy“ w Poznaniu,
ul. Rycerska 38

poleca następujące piękne powieści

po cenie zniżonej, a mianowicie:

1. ***Listopad,*** romans historyczny z drugiej połowy XIII-go wieku, przez Henryka Rzewuskiego.
3 tomy (300 stron) **tylko 75 fen.**

Henryk Rzewuski jest jednym z najznakomitszych powieściopisarzy naszego stulecia. Powieści jego pochłaniane były przez współczesnych z tą gorączkową ciekawością, jaką tylko niepospolite talenty wzbudzić umieją. I z taką samą ciekawością będą czytywane i dziś wszelkie dzieła Rzewuskiego, z pośród których mianowicie romans historyczny „Listopad“ za perłę powieściopisarstwa naszego uchodzi. Polecamy więc powieść tę sumiennie, gdyż każdego ona zajmie.

Pragnąc zaś uprzystępnić każdemu nabycie tej obszernej a tak rzadko pięknym językiem barwnie napisanej powieści, oddajemy *wszystkie 3 tomy* (300 stron) za 75 fenyg., a więc *za bezcen.*

2. ***Krwawy Chrzest,*** powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach przez J. Dzierzkowskiego.
przeszło 300 stron **tylko 75 fen.**

Krwawy Chrzest — to obraz ponury, bo gdzie spojrzysz, tam prawie same mogiły... z których przemawiają dzieje przebrzmiałych zapasów, pełne grozy i rozpaczy; krew serdeczna szczerze polska, obficie przelana na polu sławy; — na każde, stronnicy przemawia do Ciebie, Czytelniku, to wszystko, co odznacza polską ziemię, polski lud kochany i polskiego ducha...

Tu syn chłopa i dziecię senatorskie walczą zarówno o to, co nam najdroższe, najświętsze — o wolność...

I tętni kałakoł pocztowy swym głosem dzikim, tętni coraz dalej a dalej, coraz ciszej i ciszej, niknie kibitka za kibitką w niezliczonym pochodzie — na Sybir...

Przy czytaniu zakręci się łza w oku a z piersi wyrwie się mimowoli jęk bólu, ażali umilknie zupełnie na ziemi naszej dzwon męczeństw narodowych...

Pieniądze najlepiej przesłać przekazem pocztowym.

Wydawnictwo „Pracy“
(Księgarnia wysyłkowa)
w Poznaniu (Posen)
Rycerska 38.

Darmo

daje recepty do fabrykacyi sztucznych win

A. Szmytkowski

Pniewy (Pinne, Pr. Posen).
Destylacya i fabryka likierów
poleca po nizkich cenach

Jubileuszówkę

wyborną wódkę deserową, odznaczoną na wystawie w Bordeaux i na wystawie hygienicznej w Poznaniu złotym medalem, oraz wszelkie inne wyroby mo e jako to znakomite 57

nalewki, wódki gdańskie,
żołądkowe, alpejską,
araki, rumy i franc. koniaki.

Lokaj (rozebrawszy swego pana: — Czy jestem jaśnie panu jeszcze potrzebny?
— Nie! idź spać. Ja zasnę sobie... sam.

Wydawnictwo
Artystyczn. kart pocztowych
Antoniego Rose
Poznań — Bazar
poleca 315
wielki wybór kart
oraz innne własne i obce zagraniczne nakłady.

Kancelarya publiczna
(Oeffentliche Kanzlei)
(S. A. MAJKA),
w Wrocławiu, Gneisenauplatz nr. 2

pośredniczy w dostarczaniu kredytu realnego i osobistego, inkasuje zaległości, załatwia sprawy prawne, przyjmuje wnioski ubezpieczeń i udziela informacyi osobistych wszelkego rodzaju. 319

Szanownej Publiczności miasta i okolicy Poznania pozwalam sobie donieść, że otworzyłem z dniem **1 kwietnia r. b.**

Park Wiktoryi

Prosząc o łaskawe poparcie
z uszanowaniem
Władysław Fischbach.
Dawniejszy posiedziciel Eldorado. (367)

Pomocnik handl.

liczący 21 lat, rzetelny i solid. pos. chlubne świadectwa, obeznany z eksped., wszelką koresp. zwłaszcza w niem., również książkowością, poszukuje gdziekolwiekb.dź miejsca do kantoru lub t. p. Reflektuje z przyjemnością choć za niską gażą, lecz w dom renomujący. Łaskawe oferty do eksped. „Pracy“ pod lit. L. N. nr. 350.

Pomijam

gościniec miejski na wieś, folwark, gospodarstwo, zastępuje także w kupnie, sprzedaży i dzierżawy spiesznie. 360

M. Murawski
Inowrocław.

Gospodarstwo

132 mrg. z pięknemi łąkami dobrej zdrowej ziemi w powiecie gnieźnieńskim jest pod przystępnemi warunkami natychmiast do nabycia. Inwentarz żywy i martwy kompletny. Budynki w dobrym stanie. Hipcteki uregulowane. Cena 32,000 m. Zaliczka 15,000.

Bliższych wiadomości udziela

Drwęski & Langner.
Dom Bankowo-Komisowy.
Poznań, Rycerska 38.

Ślusarz

artystyczny i budowlany pragnie się osiedlić lub nabyć gotową pracownią. 356

Zgłoszenia przyjmuje pod lit. **A. W. 41** administracya „Pracy“ w Poznaniu.

PRZY ZAKUPNIE UWAŻAJCIE NA FIRMĘ I ZNACZEK „KARPIA“
Najwybórniejsze z wszystkich PRAWDZIWYCH
Wódek
Prawdziwa **Nastojka** z owocami
Prawdziwa **Nalewka** z owocami
Prawdziwe **krystalizowane Nalewki** i t. d.
B. KASPROWICZ *w Gnieźnie.*
POSIADAJĄ SŁAWĘ ŚWIATOWĄ
ODPIERAJCIE LICHE NAŚLADOWNICTWA, CHOĆ SĄ CZĘSTO IMPONUJĄCO OPAKOWANE I SZUMNIE JAKO RÓWNIE DOBRE ZACHWALANE.